



Sarah West



Namiętność

Rozdział I

— Niejaki pan Grant Davis jest tutaj, poszukuje pracowników do powstającej firmy. Czy mam go wprowadzić?

Serce Phillidy zadrżało. To nie może być... ?

Na opalonej twarzy Jannine Glarkson pojawił się rumieniec, gdy wprowadziła interesanta.

W drzwiach stanął wysoki mężczyzna. Jego twarz wyrażała zdziwienie, ale była jednocześnie uśmiechnięta. Gdy się odezwał, mówił jakby przez nos, z silnym amerykańskim akcentem.

— Phillido, to ty? Nie miałem pojęcia, że tu pracujesz, dopóki mi nie powiedziano, że przyjmie mnie pani Dennison.

Zaskoczona tym nieoczekiwanym spotkaniem, przez moment nie była zdolna odezwać się. Zaciśnęła pięści starając się opanować drzenie rąk. Gdy zaczęła mówić, jej głos był chłodny i spokojny.

— Cześć, Grant — odpowiedziała. — Nie sądziłam, że zobaczę cię znów w Hadbury.

— Ja też nie przypuszczałem, że tu przyjadę. Firma, dla której pracuję, wybrała to miasto, a ja znam teren. Gdy przyszło co do czego, wysłano mnie. Dlatego tu jestem.

Przyglądała mu się uważnie. Wyglądał dobrze, trochę przytył, lecz i tak był szczupłym mężczyzną. Czarne włosy zaczesane do tyłu, sięgały kołnierza ciemnego garnituru. Ciemnoszare oczy patrzyły poważnie spod gęstych, czarnych brwi. Gdy uśmiechnął się, wokół lekko zadartego nosa tworzyły się dwie wyraźne bruzdy.

Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech, starając się zignorować gwałtowne bicie serca.

— Jak ci się powodzi? — spytała uprzejmie. — Niewiele się zmieniłeś. I jesteś teraz pięknie opalony.

— Spędziłem krótki urlop na Florydzie, zanim tu przyjechałem. A co u ciebie? Ty za to się zmieniłaś — spojrzał na nią badawczo. — Wyglądasz wspaniale.

— Dziękuję. Teraz może tak — dodała po cichu, bardziej do siebie. — Ale to nie było wcale łatwe.

Podniosła dumnie głowę, a jej zielone, kocie oczy bez lęku patrzyły mu w twarz.

— Proszę, siadaj. W czym mogę ci pomóc?

— Dziękuję. — Usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie dużego biurka.

Wyjął z eleganckiego nesesera kartkę papieru i podał jej uważając, aby ich dłonie nie dotknęły się.

— To jest lista na której wypisaliśmy wymagania w stosunku do pracowników, których chcielibyśmy zatrudnić. Jest chyba wystarczająco dokładna. Jeżeli masz jakieś wątpliwości co do poszczególnych pozycji, to proszę pytaj.

Oszołomiona przeglądała listę. Zerknęła na nagłówek.

— Zabieracie się za nieruchomości przemysłowe?

— Tak. Rozpoczynamy działalność za dwa tygodnie, w poniedziałek. Do tego czasu chciałbym mieć już pełny wykaz zatrudnionych osób. Zdążysz?

— Nie widzę powodów, dla których miałabym nie zdążyć, chociaż ludzie będą musieli złożyć wymówienia u swoich obecnych pracodawców. To może trochę potrwać. Powiedz mi coś o twojej spółce. Ubiegający się o pracę u was na pewno też będą chcieli wiedzieć. To jest amerykańska firma?

— Częściowo amerykańska, ale także międzynarodowa. Miałem szczęście, że wybrali akurat mnie do pracy w Wielkiej Brytanii. To nie tylko oznacza awans, ale także powrót do domu.

— Gratuluję. — Głos jej lekko zadrżał. — Czym się właściwie zajmujesz?

— Projektami oprzyrządowania do komputerów. Przygotowujemy również programy i gotowe zestawy komputerowe dla zainteresowanych.

— Wygląda to na poważną działalność, zwłaszcza, że macie w tej dziedzinie sporą konkurencję na rynku.

Rysowała coś bezmyślnie na kawałku papieru. Grant Davis posiadał wszystkie cechy potrzebne do podjęcia takiego przedsięwzięcia. Kierowała nim poparta zdolnościami ambicja, miał zamiłowanie do ciężkiej pracy i zdecydowanie dążył do osiągnięcia sukcesu. Z doświadczenia wiedział, że był także uparty i nieskłonny do żadnych ustępstw.

— To jest wielka szansa. Potrzebuję dobrych pracowników, dlatego proszę cię o pomoc. — Uśmiechnął się łobuzersko. — Wierzę w twoją intuicję. Wiesz, jakich ludzi potrzebuję. Najlepszych!

Jej twarz wykrzywił grymas, a policzki mocno się zaczerwieniły. Zdenerwowała się. Jak on śmiał?

— Dużo czasu upłynęło — odpowiedziała sztywno.

— Życie w Ameryce zmieniło twoje oczekiwania odnośnie ludzi i kariery zawodowej.

Przyjrzał jej się badawczo.

— Znasz mnie dobrze, Phillido — powiedział cicho.

— To była życiowa szansa. Musiałem ją wykorzystać.

— Oczywiście. Zdaję sobie z tego sprawę. Czy jesteś żonaty?

Wymknęło jej się to pytanie, pożałowała go, ledwo je wymówiła. Jakże ma to w gruncie rzeczy znaczenie?

— Nie. Ty chyba także nie wyszłaś za mąż?

— Nie, ale zastanawiam się nad tym.

Hugh chciał ją poślubić. Nie rozpatrywała jego propozycji poważnie, ale Grant nie może myśleć, że mężczyźni przestali się nią interesować. To nie jego sprawa — jej obawy, aby znowu nie zostać zranioną.

— To dobrze. — Pokiwał głową. — Byliśmy wtedy za młodzi. Początkowo bardzo tęskniłem za tobą...

Czyżby? Jeśli tak było, dlaczego przestał pisać do niej? Poprawiła akta na biurku i spojrzała wymownie na zegar.

— Przepraszam bardzo, ale muszę wykonać jeszcze kilka telefonów, zanim pójde do domu. Pierwszą rzeczą jaką zrobię jutro, będzie opracowanie twoich wymagań dotyczących przyszłych pracowników. Dam ci znać, gdy tylko znajdę kogoś odpowiedniego.

Wstał.

— W porządku. Nie mam tu jeszcze sekretarki, ale dzwoń, proszę. Gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość. Oddzwonię.

— Dobrze. — Wstała, aby go doprowadzić do drzwi. Gdy go mijała, przytrzymał ją za ramię.

— Tak na marginesie. Wydaję bankiet w pierwszy piątek po rozpoczęciu działalności firmy. Dopilnuję żebyś otrzymała zaproszenie.

— Dziękuję, ale wątpię, abym z niego skorzystała.

— Dlaczego nie? Spotkasz wielu tutejszych biznesmenów. Może ci się to przydać, tak sędzę. Więc...

Nalegał, gdy spostrzegł, że się waha.

— Będzie wystawne przyjęcie, planuję naprawdę wielką uroczystość, aby Springboard Computer Systems zapisał się w pamięci ludzi. Przyjdiesz?

— W porządku. Namówiłeś mnie.

— Cieszę się. — Uśmiechnął się wywołując u niej przyspieszone bicie serca. — Być może znowu staniemy się przyjaciółmi, Phillido. Chciałbym tego.

— Wątpię — odparła chłodno. — Teraz już nie mamy sobie wiele do powiedzenia.

— O, nie masz racji. Z pewnością znaleźlibyśmy coś wspólnego. Potrzebuję przyjaciół, a starzy przyjaciele są szczególnie w cenie. Do zobaczenia. Phillido.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Do widzenia. I dziękuję za zlecenie.

— To czysty przypadek, że wybrałem Eager Beaver, ale teraz cieszę się, że tak się stało. Miałem zamiar cię odszukać, więc udało mi się od razu załatwić dwie sprawy.

Phillida wyprostowała się. Dzięki obcasom była jeszcze wyższa niż w rzeczywistości, ale Davis i tak górował nad nią. Nienawidziła spoglądać

w górę, na niego, ale chciała swoim śmiałym spojrzeniem dać mu do zrozumienia, że przeszłość była przeszłością. I tylko przeszłością.

Ich oczy spotkały się. Spojrzenie dziewczyny było lodowate.

— Wydaje mi się, że myślisz, iż możemy podjąć wątek w miejscu, gdzie go przerwaliśmy siedem lat temu.

— Mówiła z sarkazmem. — Nie ma mowy. Ja również cieszę się, że przyszedłeś, ale to wszystko na co mnie stać.

— Nie myślałem o tym. — Uśmiechnął się. — Spotkamy się na bankiecie. Do zobaczenia, Phillido.

Odwrócił się i przeszedł przez hall stawiając długie kroki. Phillida patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za drzwiami. Odwróciła wzrok i dostrzegła zaciekawione spojrzenie swojej pracownicy. Jannine obdarzyła ją uśmiechem, który wyrażał zazdrość i obawę jednocześnie.

— To zabawne, że go znasz — powiedziała Jannine.

— Świat jest mały!

— Za mały — Phillida wymamrotała ze złością. — Grant Davis jest jedynym człowiekiem, którego nie chciałabym nigdy więcej spotykać.

— Czy coś zaszło między wami? — Jannine zapytała z ciekawością.

Ale Phillida nie miała ochoty powierzać swojej tajemnicy nikomu.

— Właściwie to stara przyjaźń z czasów szkolnych — wymyśliła na poczekaniu. — On jest pięć lat starszy ode mnie. Parę lat temu wyjechał do Ameryki zrobić tam majątek. Wygląda na to, że mu się powiodło.

— Ale dlaczego nie chciałaś go więcej widzieć? — nalegała Jannine.

Phillida wzruszyła ramionami.

— Pewnego razu nie zachował się tak, jak powinien. Wolałabym jednak nie wracać więcej do tego.

— Ja na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła

— Jannine uśmiechnęła się szeroko. — Wygląda na kogoś specjalnego.

Phillida stłumiła irytację i uśmiechnęła się drwiąco.

— Jesteś za młoda i niedoświadczona.

„Zupełnie tak, jak ja wtedy” — pomyślała wracając do biura.

Gdy miała siedemnaście lat Grant był jedynym chłopakiem, z którym chodziła na randki. Nic dziwnego, że jego decyzja o wyjeździe do Ameryki była dla niej szokiem.

Westchnęła i chociaż zamierzała zająć się zleceniem Granta dopiero następnego dnia rano, przez cały czas myślała o zadaniu jakie miała dla niego wykonać. Zastanawiała się także, kogo mogłaby mu polecić na stanowisko sekretarki.

Rozważała trzy kandydatury, zanim znalazła najwłaściwszą. Jej wargi rozciągnęły się w radosnym uśmiechu. Drapieżna rozwódka pod trzydziestkę, Angela Mildmay, była wystarczająco atrakcyjna, by skusić każdego mężczyznę. W dodatku jej kwalifikacje jako sekretarki były bez zarzutu.

Pośle wszystkie cztery na rozmowę kwalifikacyjną, gdyż musi dać Grantowi możliwość wyboru. Gotowa była jednak założyć się o ostatniego dolara, że wybierze Mildmay. Powodzenia! Grant zasługiwał na Angelę.

Phillida mieszkała razem z matką i ojcem w Dainton, miasteczku odległym o pięć mil od Hadbury. Rodzice byli właścicielami starego domu i akra ziemi.

Gdy parkowała samochód w garażu, usłyszała dziecięcy śmiech dolatujący od strony wybiegu dla koni znajdującego się z tyłu domu.

Głuchy odgłos kopyt powiedział jej, że Andy jeździł na starym kucyku, Danny'm, na którym także i ona jeździła, gdy była młodsza.

Hugh Drainger na pewno był z chłopcem. Młody farmer, właściciel ziemi leżącej niedaleko Chilterns, często nadzorował lekcje konne jazdy sześciolatka.

Phillida stała za rogiem domu z czerwonej cegły i obserwowała tę dwójkę. Czarna czupryna Andiego powiewała, gdy w zachwycie i ze śmiechem przeskakiwał na kucyku niską przeszkodę. Hugh, wysoki blondyn o czerstwej twarzy, uśmiechał się, zadowolony ze swojego trenerskiego sukcesu. Podeszła przez ogród do Hugh'a, który pomachał w kierunku Andiego.

— Cześć, Hugh. Jak idzie Andiemu?

— Cześć, Philly. Radzi sobie świetnie. Mógłby wziąć udział w lokalnych zawodach tego lata.

— I mnie się tak wydaje.

Hugh był jedyną osobą, która wymawiała jej imię w zdrobniałej formie. Denerwowało ją to, jak zresztą wiele rzeczy u niego.

Utkwiła oczy w małej postaci galopującej na brązowym kucyku wokół wybiegu. Jej syn.

Wciąż z niedowierzaniem odkrywała w nim tak wiele z ojca. „Równie dobrze mogłabym go adoptować” — pomyślała z żalem — „On w ogóle nie jest do mnie podobny”.

— Andy! — zawołała. — Czas już skończyć. Herbata za kilka minut.

Chłopiec pocwałował w jej kierunku. — Czy widziałaś mnie, mamusiu? — zapytał żywo. — Przeskoczyłem na Danny'm tę przeszkodę. Hugh mówi, że następnym razem trochę ją podwyższy.

Uśmiechnęła się z czułością do małej, jasnej buzi.

— Widziałam cię, kochanie. Idzie ci wspaniale. Ale nie zamęcz Danny'ego. On już nie jest taki młody.

Kucyk walijski dotknął pyskiem jej ręki, gdy podawała mu kostkę cukru. Poklepała go czule po szyi.

Andy ześliznął się z siodła. Przytuliła go, a on przylgnął do niej z miłością. Phillidę cieszyło, że wciąż był małym chłopcem, zdolnym okazywać miłość bez skrupowania.

Hugh zabrał uprząż i razem z Andym poszli wypuścić kuczka na pastwisko. Phillida zawróciła do domu. Przywitała się ze swoją matką, krzątającą się w kuchni.

Kobieta ta, licząca zaledwie czterdzieści pięć lat była wciąż szczupłą i zgrabną jak jej córka. Jednakże ciemne włosy gdzieś przyprószyła już siwizna. Twarz, chociaż młoda, pokrywały delikatne zmarszczki.

Uśmiechnęła się do swojej smukłej, pięknej córki.

— Cześć, kochanie. Czy Hugh zostaje dziś na herbatę? Phillida pocałowała ją w policzek, zanim odpowiedziała.

— Chyba tak. To już stało się jego zwyczajem.

— Jest bardzo dobry dla Andiego. Chłopiec potrzebuje kogoś takiego.

— Wiem — Phillida rzuciła torebkę i ruszyła w kierunku łazienki.

— Wezmę prysznic. W biurze było bardzo ciepło.

— Jaki miałaś dzień, kochanie? Wszystko poszło dobrze?

— W porządku. Dziękuję. To nie potrwa długo. Cieszyła się tą chwilą samotności, którą jej darowała

najpierw łazienka, a potem sypialnia. Biorąc prysznic i przebierając się, miała przed oczami twarz Granta; wciąż zastanawiała się, dlaczego on wrócił.

Przybierając pogodny wyraz twarzy zeszła na herbatę. Podczas posiłku starała się żartować.

Hugh zachęcony jej dobrym humorem, później, gdy Andy spał już otulony w łóżku, przyparł ją do muru.

— Philly — rozpoczął. — Wiem, że dałaś mi kosza poprzednim razem, ale ponawiam swoją propozycję. Czy wyjdiesz za mnie? Kocham cię. Andiego też. Wiem, że możemy być szczęśliwi razem. Proszę, powiedz: tak. Daj nam obojgu szansę — usilnie prosił.

Phillida zmarszczyła brwi. Ta oferta była szczególnie kusząca, zwłaszcza po spotkaniu z Grantem. Zareczynny powstrzymałyby Granta od niepokojenia jej w przyszłości. A Andy rzeczywiście potrzebuje ojca...

„Andy ma ojca, chociaż o tym nie wie” — pomyślała buntowniczo. Mały akceptował to, że jego ojciec musiał wyjechać. I to wystarczyło. Nie potrzebował obecności ojca, rodzzonego, czy przybranego.

Została tak mocno zraniona, że przysięgła sobie już nigdy więcej nie polegać na mężczyznach. Do tej pory dotrzymała słowa.

— Wybacz, Hugh — powiedziała. — Nie chcę już więcej wychodzić za męża.

— Miałabyś swój dom. Nie musiałabyś pracować...

— Nie jestem stworzona na żonę farmera. Nie, Hugh, nie mam nic więcej do dodania. Nawet gdybym cię kochała, miałabym wątpliwości. A ponieważ cię nie Kocham, w ogóle nie ma o czym mówić.

Uśmiechnęła się do niego, aby osłodzić gorycz wypowiedzianych słów. Wyciągnęła rękę.

— Wciąż jesteśmy przyjaciółmi?

Uśmiechnął się ponuro i wzruszył ramionami. Potem dopiero uściskał jej dłoń.

— Tak, wciąż tylko przyjaciółmi — zgodził się. — Nie masz nic przeciwko temu, żebym nadal pomagał Andiemu?

— Oczywiście, że nie. Uczysz go lepiej, niż ja bym potrafiła. A poza tym on cię lubi.

— Wobec tego w porządku — westchnął. — Nie obiecuję, że nie będę cię prosił o rękę znów, kiedyś w przyszłości. Chcę, żebyś była moją żoną, Philly.

Uśmiech pojawił się na jej twarzy.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, że będę ci odmawiała, to ja nie mam nic przeciwko temu, że będziesz wciąż pytał. Czy mógłbyś mnie nie nazywać „Philly”? Odnoszę wrażenie, że brzmi to jak imię konia — wspomniała Phillida.

Hugh wyraźnie się speszył.

— Przepraszam, Phillido. Nie pomyślałem o tym nigdy w ten sposób, ale będę pamiętał.

— Dziękuję. Chodźmy zobaczyć, co robi matka.

Przeszli do zaciemnionego, bardzo wygodnie urządzonego salonu. Matka robiła na drutach, zerkając w telewizor.

Chwilę potem wrócił ojciec, który był na delegacji w Londynie. Phillida zerwała się, żeby przygotować mu coś do jedzenia. Hugh powoli zbierał się do wyjścia.

Frank Dennison był pełnym wigoru, trochę łysiejącym mężczyzną, pomimo swego podeszłego wieku wciąż przystojnym.

Spokojny nastrój tego popołudnia wprowadził Phillidę w zadumę. Przypomniały jej się dni, podczas których miłość rodziców i ich zrozumienie pomagały jej przetrwać młodzińcze chwile załamania.

Gdy miała trzynaście lat i była w drugiej klasie szkoły średniej, wspominała z bólem, po raz pierwszy zobaczyła Granta Davisa, wysokiego ucznia szóstej klasy. Zdawał egzaminy wstępne na uniwersytet. Kiedy w rok później dostrzegł w końcu adorującą go ciemnowłosą małąlatę i zaprosił na randkę, Phillida nie posiadała się z radości!

Pisywali do siebie listy, gdy był na uniwersytecie. Większą część wakacji spędzali razem. Z tego co wiedziała, Grant nie umawiał się z nikim innym, więc poczuła się z nim bliżej związana. Traktowała go jak swoją własność.

Gdy miała siedemnaście lat, pokochała go już mocno i prawdziwie. Wierzyła, że z wzajemnością. Jego pocałunki zastępowały słowa.

Gdy powiedział o propozycji stypendium naukowego w Stanach, wydawało jej się oczywiste, iż pojedzie z nim.

- Grant — wyszeptała, a jej oczy błyszczały jak rozpalone gwiazdy.
- To wspaniale. Zastanawiam się, co powiedzą na to mama i tata.
- Dlaczego mieliby cokolwiek powiedzieć? — zapytał zaskoczony.
- Jeśli mamy jechać razem...

— Obawiam się, że nie jest to możliwe — przerwał jej raptownie. Twarz mu pociemniała. Zmieszał się. — Wybacz Phillido, będę mieszkał w miasteczku studenckim. Nie przewidują tam zakwaterowania dla osób towarzyszących.

— Rozumiem. — Jej zwykle tak doskonała samokontrola o mało nie ustąpiła pod naporem fali goryczy, zawodu i bólu. Z trudem powstrzymała się od płaczu.

Sprzeczne uczucia targały nią przez długie tygodnie. Tłumiła je, aż w końcu nie wytrzymała. Wydawało jej się, że jest tylko jeden sposób, aby Grant pragnął jej tak bardzo, że nie mógłby jej zostawić w Anglii, niezależnie od wszelkich przeszkód i trudności.

Z premedytacją odrzuciła zasady wpajane przez rodziców. Postanowiła go uwieść.

Gdy to się stało, była przerażona. Grant z kolei przepraszał. Nie zobaczyła go już więcej.

Uśmiechnęła się sardonicznie. Nie była w stanie wyobrazić sobie gorszego fiaska niż to, którym zakończyła się próba przekonania go, że nie może bez niej żyć.

Dwa miesiące później jej podejrzzenia okazały się słuszne: była w ciąży. Ona, uczennica colleg'u kształcącej sekretarki, zależna od rodziców, młodziutka i wystraszona. Przez następny miesiąc utrzymywała ten fakt w tajemnicy. W końcu matka dostrzegła jej bladość i kiepski stan zdrowia. Nie można przecież było tego ukryć.

Tak bardzo bała się ich reakcji. Rodzice będą córkę oskarżać, możliwe, że nawet się jej wyprą. Zawsze kierowali się niewzruszonymi zasadami moralnymi. Nie mogła się spodziewać, że ją pochwalą.

Matka przyjęła wiadomość spokojnie, chociaż Phillida wiedziała, że był to dla niej szok.

— Jak to się stało? — spytała.

Nie zapytała „kto?” Było to dla niej oczywiste. — To nie jego wina, mamó. — Broniła Granta, wciąż go przecież kochała. — To ja postarałam się o okazję. Chciałam jechać z nim do Stanów.

— Głupie dziecko — matka strofowała ją. — Czy on wie o tym?

— Nie! Nie wolno mu powiedzieć. Nie chcę go zmuszać, żeby mnie poślubił.

Matka miała pewne wątpliwości, ale ostatecznie wyraziła zgodę.

— W porządku. Ale będziesz musiała ponieść konsekwencje. Przede wszystkim wizyta u lekarza i badania. — Zacisnęła wargi zastanawiając się. — Dobrze, że nigdy nie było potrzeby, żebym pracowała. Będę opiekowała się dzieckiem po porodzie. Ukończysz szkołę i zaczniesz zarabiać na utrzymanie dziecka.

— Ach, mamusiu! — wykrzyknęła. Długo płakała wtulona w ramiona matki. — Nie wiem, co powiedzieć. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Chyba najbardziej bolesną rzeczą był dla niej wyraz głębokiego zawodu, który pojawił się w oczach ojca. Jednakże nigdy nie wypowiedział ani słowa potępienia i całkowicie popierał rozwiązanie zaproponowane przez żonę.

W pełen miłości sposób, bez narzekania, wziął odpowiedzialność za dziecko, które nieoczekiwanie pojawiło się w rodzinie.

Phillida rzucała teraz ukradkiem spojrzenia na rodziców oglądających telewizję. Byli dobrzy, pełni uczucia, zadowoleni z życia. Ona też była zadowolona. Czasem tylko pojawiała się niepokojące

uczucie, że jej istnieniu brakuje jakiegoś zasadniczego składnika. Zawsze jednak starała się odrzucać te myśli.

Wstała i poszła na górę, aby sprawdzić, czy Andy śpi. Z powodu chłopca nie mogła nigdy całkowicie wymazać Granta ze swojej pamięci. Przypominał jej się za każdym razem, gdy patrzyła na syna. A teraz powrócił realnie.

Gdy pochyliła się, aby ucałować czoło dziecka, zdała sobie sprawę, że okres spokojnego i bezpiecznego życia skończył się. Niezależnie od skutku powtórnego pojawienia się Granta, jej stosunek do przyszłości już się zmienił.

Pragnęła poznać szczęście płynące z życia dzielonego z człowiekiem, którego by kochała. Nie śmiała jednak zaufać uczuciom, nie potrafiła zaryzykować powtórnego ich zranienia. Dlatego skazana była na gorzkie pełne tęsknoty życie.

Rozdział II

Prostując się spojrzała z czułością na małą postać śpiącą w łóżku. Jedną piąstkę miał zwiniętą i przyciskał ją do policzka. Twarzyczka o delikatnej skórze, ciemnej jak u ojca, była zabarwiona rumieńcami. Schyliła się ponownie, by odgarnąć zbłąkany loczek z jego czoła, pocałowała go jeszcze raz.

Zanim Grant przestał pisywać, otrzymała od niego dwa listy utrzymane w przyjacielskim tonie. Potem wysłała kilka tuzinów swoich i dopiero przyznała się do porażki.

Zacisnęła wargi. W duchu śmiała się sama z siebie. „Tak się koło niego zakreśliłaś, że zostawił cię, jak tylko nadarzyła się pierwsza, w miarę przyzwoita okazja” — mówiła sobie.

Wtedy jej złość przeniosła się na dziecko, które nosiła w sobie. Nie wyobrażała sobie życia z istotą, która wciąż będzie przypominała o przeszłości. Jednak z chwilą, gdy wzięła dzieciątko w ramiona, miłość do syna rozkwitła, aż do momentu, w którym całkowicie zdominowała jej życie.

A tego właśnie obawiała się matka. Dlatego nalegała, aby Phillida umawiała się z innymi chłopcami, brała udział w życiu towarzyskim rówieśników. Ale córka nie była tym zainteresowana. Jedyne dziecko, którego mogła kochać, opuścił ją. Wszystkie swoje uczucia przelała na dziecko, które było owocem tej miłości.

Joan Dennison traktowała Andiego jak własnego syna, do tego stopnia nawet, że Phillida uważała, iż w gruncie rzeczy rodzice są zadowoleni z tego, co się stało. Kiedy Grant nie wrócił po ukończeniu

dwuletniego programu badawczego, a jego rodzice wyprowadzili się z Hadbury, stwierdziła, że zniknął już na dobre z jej życia.

Wyprostowała się dumnie. Ignorował ją przez siedem lat, dla niej równie dobrze mógł się w ogóle nie zjawiać. Jak dotąd dawała sobie radę bez niego i teraz także go nie potrzebuje.

Miłość zamieniła się w nienawiść, uczucie równie silne, jak tamto. Myśl o tym mężczyźnie nie powodowała już przyspieszonego bicia serca, wspomnienie jego poważnych, szarych oczu i czarującego uśmiechu nie wprawiało rąk w drżenie. Nie obawiała się rozmowy z nim przez telefon czy spotkania podczas obiadu.

No cóż, nie ma sensu leżeć i marzyć co byłoby, gdyby...

Grant potrzebował teraz pracowników, od kierownika księgowości do recepcjonistki.

* * *

Spędziła mnóstwo czasu, szukając w kartotece właściwych ludzi. Pragnęła wywiązać się jak najlepiej. W południe miała już przygotowane dane kilku kandydatów. Wiedziała, że będzie musiała zadzwonić do Granta w celu ustalenia terminu rozmów kwalifikacyjnych.

Najpierw jednak chciała coś załatwić. Poświęciła trochę czasu kilku drobnym sprawom, zanim uświadomiła sobie, że odkłada moment podniesienia słuchawki i wykręcenia numeru.

Mogłaby poprosić Jannine... Nie! To byłoby tchórzostwo. Już zdecydowała się zadzwonić, gdy zabrzączał telefon. Przyjęła tę zwłokę z ulgą, której nawet nie starała się ukryć przed sobą.

— Tak, słucham, Jannine?

— Pani Mildmay jest tutaj, w sprawie pracy. Czy mam... ?

— Dobrze. Poproś ją.

Angela Mildmay weszła do gabinetu, a wraz z nią wpłynęła fala zapachu mocnych, egzotycznych perfum. Phillida spojrzała badawczo, utwierdzając się we wrażeniu, jakie odniosła podczas ostatniej rozmowy z tą kobietą.

Było w niej coś, czego Phillida nie mogła znieść. Spojrzenie pełne wyrachowania i przebiegłości, surowość w niebieskich oczach, odrobina cynizmu i krzykliwa kokieteria stanowiły część tego, co tak drażniło. Było jednak coś jeszcze. Coś głębszego, ukrytego, co jeżyło włos na głowie Phillidy.

Stojąc twarzą w twarz ze starannie ufryzowaną blondynką, zastanawiała się czy dobrze robi, posyłając ją na rozmowę z Grantem. Nie życzyłaby tej kobiecie najgorszemu wrogowi. Ale Grant nie miał serca...

Postanowiła być stanowcza. Wręczyła sekretarce szczegółowe informacje na temat jej przyszłej pracy i zaczęła ustalać datę rozmowy kwalifikacyjnej.

— Jaki jest pan Davis? — Pomalowane kredką brwi utworzyły łuk, unosząc się w niekłamanym zainteresowaniu. — Czy dobrze się z nim pracuje?

— Kompetentny i wymagający, tak bym go określiła — odpowiedziała Phillida. Ale nie była to odpowiedź wprost i zastanowiło ją, dlaczego tak powiedziała. — Postaram się go teraz złapać i ustalić termin rozmowy kwalifikacyjnej.

W obecności przyszłej pracownicy rozmowa z Grantem nie wydawała jej się trudna.

Powitał ją głos automatycznej sekretarki: „Proszę zostawić wiadomość po sygnale”. Podyktowała wiadomość i odłożyła słuchawkę z uczuciem zawodu.

Telefony dzwoniły cały czas, nie mogła więc wiedzieć, który jest tym oczekiwanym. Gdy Jannine zapowiedziała: „Pan Davis do ciebie” — serce jej niemile zatrzepotało.

— Halo! Phillida? — Głos zabrzmiał przyjaźnie.

— Grant — powiedziała zimno. — Dziękuję za telefon. Mam kilku ludzi dla ciebie...

Z jej opanowanego tonu nikt nie wyczułby targających nią emocji. Ręka trzymająca słuchawkę była mokra od potu, palce niezręcznie trzymały długopis, gdy pisała coś na kartce.

W bezosobowej formie szybko przekazała informacje i odłożyła słuchawkę, nie dając Grantowi szansy na rozmowę. Opierając się o fotel, wzięła głęboki oddech.

Co za nonsens. Należało odesłać Granta do innego biura. A już z pewnością nie powinna była przyjąć zaproszenia na bankiet.

— Wszystko w porządku, kochanie?

Głos matki przerwał tok myśli. Ze zdziwieniem zreflektowała się, że w dłoniach trzyma skarpetki Andiego. Miała je cerować, a leżały wciąż na jej kolanach nietknięte.

Zamrugła oczyma, patrząc na twarz matki. Zdobyła się na uśmiech.

— Tak, po prostu myślę.

— Rozmyślasz. Coś cię niepokoi od wczoraj. Czy to Hugh?

— Zostaw ją w spokoju, Joan — ojciec zrobił groźną minę w kierunku żony. — Phillida zadecyduje o swoim życiu bez naszej pomocy. — Kiwnął do córki.

Odpowiedziała uśmiechem.

— Czasem zastanawiam się, tato, co ja bym bez was poczęła przez te siedem lat — powiedziała z wdzięcznością.

— Dałabyś sobie radę. Jesteś odważna, kochanie. Życie nie wygrałoby z tobą, z naszą czy bez naszej pomocy.

Phillida wstała.

— Chciałabym, żebyś miał rację. Napijemy się herbaty.

— Z przyjemnością.

Zamiast, jak zwykle, chwilę poczekać, aż herbata będzie gotowa, ojciec poszedł do kuchni z Phillidą. Otwierając szeleszczącą paczkę ciastek, rzucił ukradkiem spojrzenie na córkę.

— Słyszałem, że Grant Davis przyjechał — powiedział cicho.

— Skąd wiesz? — Zamarła.

— Niektórzy z naszych dyrektorów zostali zaproszeni na przyjęcie, które urządza. Sądzę, że wiedziałaś o tym?

— Tak. Przyszedł wczoraj do mnie do biura. Obydwoje byliśmy zaskoczeni tym spotkaniem.

— Domyślam się tego. Bardzo się zmienił?

— Jest starszy, bardziej pewny siebie. Poza tym wygląda wciąż tak samo.

— Niepokoi cię jego obecność, kochanie, czyż nie? Spotkanie z nim wywołało wspomnienia z przeszłości. Nie pozwól, żeby znowu stała ci się

jakaś krzywda. Tak na marginesie, nic nie powiedziałem matce. Ona tak lubi plotkować.

— Dziękuję, tato. Nie mam specjalnie ochoty mówić o tym. Jedna rzecz mnie poważnie niepokoi. Czy Grant może rościć sobie prawa do Andiego?

— Nie ma szans. Nawet gdyby się wygłupił i spróbował, żaden sędzia nie będzie go słuchał. Nie ma nawet cienia szansy na zabranie dziecka kochającej matce.

— Tak myślałam, ale dobrze to usłyszeć z twoich mądrych ust.

Ojciec na chwilę pogrążył się w zadumie, a potem wolno powiedział:

— Mogą mu przyznać jedynie prawo widzenia się z dzieckiem. Ale nic więcej.

Czy potrafiłaby to znieść? „Będę go unikała, jak tylko się da. Gdyby zobaczył Andiego skomplikowałoby to wszystko”.

— Oczywiście nie powiedziałaś mu?

— Ależ nie! Andy jest mój. Grant nie ma do niego prawa. Lepiej, jeśli się w ogóle nie dowie.

— Jesteś pewna, że nie wie?

— Powiedziałyby coś.

— Więc przestań się martwić. Chyba, że wciąż go kochasz?

— Tato! Jak mogłabym go kochać po tym, co mi zrobił?

Ojciec uśmiechnął się smutno.

— To nie takie proste. Miłość i nienawiść nie przychodzi i nie odchodzi na nasze zawołanie. A mówi się, że jedno dopełnia drugie.

— Ale ja go nie tylko nienawidzę. Czuję do niego wstręt i pogardę. On mnie opuścił.

— Bądź sprawiedliwa, kochanie. Nic ci nigdy nie obiecywał i nic nie wiedział o dziecku. Nie porzucił cię wobec tego, w pełnym tego słowa znaczeniu.

— Po czyjej stronie jesteś? — zapytała gniewnie.

— Po twojej, oczywiście. Ale nie chcę, żebyś była niesprawiedliwa. Nie zachował się w porządku, to prawda, ale znowu nie aż tak okrutnie, jak mu to przypisujemy. Przecież to ty...

— To prawda, to była wyłącznie moja wina! — wykrzyknęła Phillida.

— Cii... — wyszeptał kładąc palec na wargach. — matka.

— Co się dzieje, do diabła? — Joan Dennison spytała, stojąc w drzwiach.

— Nic — wycedziła Phillida. — Idę spać.

Pół godziny później ktoś delikatnie zapukał do drzwi jej sypialni. Phillida leżała ubrana na łóżku. Nie zareagowała. Pukanie powtórzyło się i głos ojca dobiegł z korytarza:

— Phillido, chcę z tobą porozmawiać.

— Idź sobie — zasyczała w odpowiedzi.

Drzwi otworzyły się cicho i ojciec wszedł do pokoju, zamknął je za sobą delikatnie i podszedł do niej. Phillida usiadła niechętnie.

— Czego chcesz? — spytała szorstko. — Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Wiesz, że to, co zrobiłaś było złe...

— Jeśli przyszedłeś mnie obwiniać... — rozpoczęła.

— Nie obwiniać, kochanie. — Usiadł na łóżku. — Zawsze rozumiałem powody, dla których tak postąpiłaś. Ponieważ nie udało ci się zatrzymać Granta, nie potępiaj go za to.

Westchnęła i nagle gwałtownie skuliła się, skryła twarz w dłoniach.

— Wiem. Nie winię go za tamto. Winę go za to, że za mało mnie kochał, że przestał pisać...

Ojciec włączył lampę.

— Pojechał do innego kraju, aby zrobić karierę — mówił, patrząc spokojnie na córkę. — Musiał zapomnieć o życiu, które pędził w Anglii. A poza tym pisywał dość długo... Może gdybyś wyjawiała mu prawdę...

— Powiedział, że początkowo tęsknił za mną.

— Więc rozmawialiście o tym.

— Niezupełnie. Powiedział to mimochodem. Dodał, że byliśmy wtedy za młodzi.

— Był chorobliwie ambitny, chciał osiągnąć sukces za wszelką cenę. Może teraz tego żałuje?

— Wątpię. Jest z siebie bardzo zadowolony. Przypuszczam, że mu się powiodło. Jest młody, jak na głównego dyrektora brytyjskiej filii tak dużej firmy.

Ojciec wstał gotowy do wyjścia.

— Chciałem po prostu, abyś nie oceniała go zbyt surowo. Nienawiść nikomu nie pomogła, najmniej już temu, kto jej ulega. Zupełnie przypadkowo udało mi się zmylić trop — zaśmiał się cicho — Ona myśli, że pokłóciliśmy się o jakiś drobiazg.

Phillida zaśmiała się wbrew samej sobie.

— Dzięki, tato. Kocham cię!

— Ja też cię kocham, wiesz o tym. Nie mogę znieść, gdy jesteś nieszczęśliwa. Uszy do góry. On nie może ci nic zrobić, dopóki mu na to nie pozwolisz. A jeśli pozwolisz, to znaczy, że ci zależy na nim. Pomyśl o tym.

Phillida rzeczywiście myślała o tym do późna w nocy.

Wszystkie dawne tęsknoty i pragnienia, dotąd jakby uśpione, wróciły na nowo po jednym spotkaniu z Grantem. Nie mogła zrozumieć tego, że wciąż go pragnęła. Gdyby była szczerą w stosunku do siebie, musiałaby przyznać, że ciągle go kocha.

Może pragnąć, nawet kochać, ale przysięgła sobie nie dać się wciągnąć więcej. Jeden zawód to już zbyt wiele.

W ciągu kilku następnych tygodni Phillida musiała rozmawiać z Grantem prawie co dzień, ustalając terminy rozmów kwalifikacyjnych i dowiadując się o ich rezultaty.

Tak jak przewidywała, Grant zaangażował Angelę Mildmay jako osobistą sekretarkę. Phillida nie wiedziała, czy się cieszyć, czy żałować. Najbardziej zaniepokoiła ją nieoczekiwana zazdrość, którą odczuła, gdy Grant poinformował ją o tym.

Dopiero po gruntownym rozważeniu tej sprawy zrozumiała, że złapała się we własne sidła. Wytypowała Angelę w przyпіływie złości, a teraz musi ponieść konsekwencje. Postanowiła unikać Granta na tyle, na ile to będzie możliwe. Całe zajście wymaże z pamięci.

Pozostałe kandydatki, które wybrała, również byłyby dobrymi pracownikami. Grant okazał jej osobiście wdzięczność za tak staranny dobór osób.

Jego wizyta nie została zapowiedziana. Phillidzie zostało więc tylko kilka sekund na opanowanie zdenerwowania, gdy Jannine wprowadzała niespodziewanego gościa.

— Dziękuję, Jannine.

Wstała, aby przywitać się z Grantem.

— Czym mogę służyć?

Gestem wskazała krzesła i oboje usiedli. Jego ujmujący uśmiech sprawił, że serce jej drgnęło.

— Przyszedłem ci pogratulować. Oddałaś mi wielką przysługę, Phillido. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

— Miło to słyszeć — powiedziała tonem, który daleki był od serdeczności. — Czynimy zawsze, co w naszej mocy.

— To właśnie o was słyszałem. Macie dobrą renomę w mieście.

Phillida mocniej ścisnęła trzymane w dłoni pióro. Zacisnęła wargi. Musi pozbyć się go szybko albo zupełnie ulegnie jego czarowi. Pociągał ją, gdy miała osiemnaście lat i później, gdy miała dwadzieścia dwa. Teraz, gdy ma prawie trzydzieści, działa na nią jak magnes.

— Miło to słyszeć z twoich ust. Ale niepotrzebnie się fatygowałeś. I tak spotkalibyśmy się na bankiecie w piątek.

— Wspaniale, chciałem się upewnić czy przyjdiesz. Wygląda na to, że rozpoczynamy wielką wyprzedaż.

— Więc zapowiada się dobry początek. Wstała.

— Zatem, do zobaczenia w piątek. Podniósł się i wyciągnął do niej dłoń.

— Będę czekał — powiedział przyjaźnie. — Do widzenia, Phillido.

Uśmiechnął się ciepło i skierował prosto do drzwi.

Usiadła na krześle, oparła łokcie o biurko, zagłębiła palce w jedwabistych włosach. Ręce jej się trzęsły.

Nagle uderzyła ją fala gorąca. Oblała się potem, przypominając sobie, że któregoś dnia Andy odwiedził ją w biurze razem ze swoim dziadkiem.

Jannine wiedziała o jej nieślubnym dziecku. Widziała Andy'ego, widziała Granta, byli przecież podobni do siebie. Ile czasu zajmie jej dojście do tego, że dwa razy dwa jest cztery? Jannine była inteligentna i umiała obserwować. Wie, że ona i Grant spotykali się w przeszłości. Nie sprawi jej kłopotu skojarzenie faktów.

A co pomyślą ludzie z miasteczka, którzy znają Andiego i wiedzą, że jego matka była związana z Grantem? Może nawet już odgadli prawdę? Jedno spojrzenie na Granta potwierdzi ich podejrzenia.

Ktoś z nich pewnego dnia powie Grantowi o istnieniu chłopca.

Zbliżał się piątek. Phillida zaczęła żałować, że przyjęła zaproszenie na bankiet. Ale wycofanie się byłoby tchórzostwem. Grant może podejrzewać, że usiłuje go unikać. W każdym bądź razie, jeśli mają mieszkać i pracować w jednym mieście, musi się przyzwyczaić do takich spotkań. Umiała już całkiem zwyczajnie rozmawiać z nim przez telefon. Z pewnością poradzi sobie i ze spotkaniami! Musi!

Kiedy przybyła na bankiet, było już sporo gości. Hall nowej siedziby firmy wypełniał gwar rozmów, gdy weszła.

Oszłamiające wrażenie zrobił na niej wystrój sali. „Amerykanie wiedzą, jak zrobić wrażenie” — pomyślała cynicznie. Nie byli specjalnie oszczędni. Drogi dywan tłumił jej kroki, gdy skierowała się do bufetu.

Przyglądając się otoczeniu podświadomie szukała kogoś. Musi być gdzieś tutaj. Im szybciej dostrzeże, gdzie on jest, tym lepiej. Chciała uniknąć kłopotliwej sytuacji.

Starczył rzut oka. Ciemna głowa górowała nad grupką ludzi zebranych wokół niego. Patrzył prosto na nią. Ich oczy spotkały się mimo dużej odległości Grant schylił głowę, powiedział kilka słów do otaczających go osób i po chwili zmierzał już w jej kierunku.

Phillida była tak spięta, że ledwo zdobyła się na powitalny uśmiech.
— Witaj, Grant. Przepraszam za spóźnienie.

Jego oczy promieniowały ciepłem, wraz z uśmiechem pojawiły się leciutkie zmarszczki wokół ust.

— Warto było czekać.

Zarumieniła się. Grant stał się kobieciarzem przez te siedem lat. Dawniej taki komplement nie przyszedłby mu z łatwością.

— Właściwie wcale się nie spóźniłaś. To inni przyszli za wcześnie. Zgaduję, że pojechałaś do domu przebrać się, oni przyszli prosto z pracy.

Przybycie kilku nowych gości pochłonęło jego uwagę, przeprosił ją usprawiedliwiając się:

— Obawiam się, że muszę pełnić rolę gospodarza. Nie zniknij. Poczęstuj się, napij się czegoś. Porozmawiamy później.

Phillida wzrokiem odprowadziła go aż do drzwi, gdzie powitał przybyłych. Charakterystyczny zapach perfum ostrzegł ją o bliskiej obecności Angeli Mildmay.

Obróciła się i napotkała chłodne, beznamietne oczy Angeli, a jej wyćwiczony, sztuczny uśmiech powitał Phillidę.

— Panno Dennison! — wykrzyknęła. — Cieszę się, że panią widzę. Na pewno ucieszy panią wiadomość, że podoba mi się praca, którą mi pani znalazła.

— To dobrze — uśmiechnęła się z niechęcią Phillida.

— Piękne przyjęcie, nie sądzi pani? Kosztowało fortunę — wyznała w sekrecie, jednocześnie przesadnie unosząc brwi w górę. — Czy napije się pani szampana? — chwyciła dwa kieliszki z tacy niesionej przez kelnera. Podając jeden Phillidzie, zachęcała ją:

— Proszę się poczęstować słodkościami. Grant poprosił mnie, żebym była gospodynią tego przyjęcia, więc nie mogę gawędzić z panią za długo. Muszę także zadbać o innych gości. Proszę mi wybaczyć.

— Bardzo proszę — odpowiedziała uprzejmie półgłosem.

Patrzyła z goryczą na tę kobietę przechodzącą tanecznym krokiem przez pokój. Angela była ubrana tak, by olśnić. Gładka obcisła sukienka złotego koloru podkreślała kształtność jej figury. Doskonale wyróżniała się na tle ciemnych garniturów poważnych biznesmenów. Mężczyźni przyglądali się jej, gdy podchodziła do Granta.

Dbać o innych gości! Przykleiła się do Granta jak zazdrosna żona. Dlaczego nie kazał jej zająć się innymi, tylko śmieje się i rozmawia z nią? Rzeczywiście, Angela musiała znaleźć w nim dobrego zwierzchnika.

Phillida odwróciła się od tego irytującego widoku. Poczęstowała się odrobiną z przeobficie zastawionego stołu, który przeżywał właśnie obłęzenie. Zamieniła kilka słów z gośćmi podczas wspólnego degustowania przygotowanych rarytasów.

Czas szybko minął podczas rozmów. Nie od razu spostrzegła, że Grant i Angela zniknęli. Gdy zorientowała się, dokładnie zlustrowała pomieszczenie. Miała rację. Nie było ich nigdzie.

W jakim celu opuścili przyjęcie, którego byli gospodarzami? Odpowiedź była jednoznaczna.

Poczuła się okropnie, sama wymyśliła tę głupią intrygę, ale to nie znaczy, że on musiał ulec pokusie...

Zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się.

— Jak ten czas leci. Muszę już iść.

Uwolnwszy się od gości, z którymi rozmawiała, wyszła na świeże powietrze. Odjechała z parkingu, jak gdyby była ścigana.

Bo przecież ścigały ją żal, rozczarowanie i zazdrość.

Rozdział III

Phillida nie była kobietą skora do płaczu, jednak drogę widziała słabo przez zasłonę łez.

Rodzice, jak zwykle, pytali, czy dobrze się bawiła. Odpowiedziała niedbale o swoich wrażeniach i szybko uciekła do pokoju. Zagłębiła się w pięknej, głębokiej otomanie — jednoosobowej, nie było na niej miejsca dla kochanków.

Zdziwiło ją, że o tym pomyślała. Wiedziała, że łoże mogłaby dzielić tylko z tym jednym jedynym mężczyzną. Tym, który jej nie chciał w przeszłości i nie chce teraz.

Zdusiła w sobie tę nedorzeczną tęsknotę. Już wcześniej przygotowała się na trudne chwile, pielęgnowanie nierealnych marzeń może prowadzić tylko do smutku i żalu.

— Czy nie moglibyśmy zjeść trochę tego ulubionego smakołyku mamy? — Następnego dnia Andy był trochę marudny.

— Nie, nie możemy. To kosztuje fortunę i moim zdaniem nie jest tego warte. Wstrętne, słone.

— Mama powiedziała, że to jest wspaniałe.

— Kwestia gustu, Andy. Niektórzy dorośli lubią takie rzeczy.

— Jak będziesz duży, też będziesz jadł kawior — wyjaśniła Phillida.

— To kremowe coś wygląda smacznie. Może zjadłbym je? — Andy wyraźnie postanowił nie rezygnować.

Phillida uśmiechnęła się.

— Wiesz, co. Zabiorę cię do restauracji i zamówię kawałek tortu. Co ty na to?

Świetnie! Kiedy?

— Dziś po południu. Pojedziemy wszyscy. Ja stawiam.

— Dopiero, gdy wprowadzała całą rodzinę do najlepszego lokalu w miasteczku, zastanowiła się, czy mądrze zrobiła. A jeśli zobaczy ich Grant albo jakiś ich wspólny przyjaciel? Andy uczęszczał do szkoły w sąsiednim miasteczku, więc rzadko pokazywał się w Hadbury. A oto teraz ona z nim paradyje...

Jedzenie było wspaniałe. Phillida obserwowała z pobłażliwym uśmiechem Andiego pałaszującego łakomie trójkątny kawałek tortu. Po chwili z błogą miną oparł się o krzesło.

— To było bardzo dobre — zawyrokował, spoglądając radośnie na nią oczyma swojego ojca. — Dziękuję, mamó. Smakowało mi.

Uśmiech rozjaśnił twarz Phillidy.

— Bardzo się cieszę, kochanie. Moje ciastko również mi smakowało. Musimy tu częściej przychodzić.

Rodzice podchwycili z entuzjazmem ten pomysł. Ojciec obiecał, że następnym razem on stawia. Więc Andy znów pokaże się w Hadbury.

* **

Przez następne dwa tygodnie nic się nie wydarzyło. Grant nie dzwonił. Phillida powtarzała sobie, że to dobrze. Jeżeli związał się z Angellą Mildmay, to przecież ona wcale nie musi o tym wiedzieć.

Agencja prosperowała. Każdego dnia ludzie, których znała, zwracali się o pomoc w znalezieniu stałego lub czasowego zajęcia. Potrzebny był im dodatkowy pracownik, dlatego centralne biuro wyraziło zgodę na zatrudnienie jeszcze jednej osoby.

Dianne Peters miała zaledwie szesnaście lat. W odróżnieniu od Jannine ubierała się zwyczajnie i skromnie. Była dziewczyną o spokojnym usposobieniu, odnosiła się do ludzi z pewną dozą rezerwy, lecz nie była nieśmiała. Idealnie nadawała się do takiej roboty.

Interesy agencji szły tak dobrze, że Phillida po raz pierwszy od dwóch lat, kiedy to przejęła jej kierownictwo, uświadomiła sobie, że będzie mogła wybrać się na wakacje z zupełnie czystym sumieniem. Zaczęła snuć urlopowe plany, wybierać miejsce, gdzie zabierze Andiego za kilka miesięcy, po rozdaniu świadectw.

O Grancie prawie zapomniała, albo tak jej się wydawało. Zagrożenie, które pojawiło się wraz z jego przyjazdem ustąpiło gdzieś na dalszy plan.

Gdy któregoś dnia jego głos zabrzmiał w słuchawce, Phillida przeżyła szok.

— Phillida? Tutaj Grant. Jak się masz?

Z trudem przełknęła ślinę.

— Witaj, Grant — starannie kontrolowany głos nie zdradził jej podniecenia. — W porządku.

— Chciałbym się z tobą zobaczyć i porozmawiać o interesach. Czy możemy się spotkać na obiedzie?

— Dzisiaj?

— Jeśli dasz radę.

— Nie, dzisiaj nie mogę.

Ale jak odmówić, żeby nie być nieuprzejmą?

— Jestem aktualnie bardzo zajęta... — rozpoczęła. — Obawiam się, że nie dam rady.

— To jest pilne. Może w takim razie jutro? Wiedziała, że będzie nalegał.

— Czy musimy iść na obiad? Nie mógłbyś wpaść do biura? „Tak będzie znacznie bezpieczniej. ”

— Nie. Musimy przedyskutować to na neutralnym gruncie. Czy to jest twoje ostatnie słowo, że dziś nie dasz rady? Moglibyśmy się spotkać w Grey Falcon. Powiedzmy o pierwszej.

Oferta była niezwykle kusząca. Grey Falcon w Road House — znane miejsce spotkań biznesmenów — cieszyło się doskonałą opinią.

— Dobrze — powiedziała nagle. — Spotkamy się tam o pierwszej. Możesz powiedzieć o co chodzi?

— Dopiero gdy się spotkamy, Phillido. Do zobaczenia. Punktualnie o pierwszej zjawiała się w Road House.

Grant już czekał. Ledwo weszła do hallu, znalazł się obok niej. Czarująco uśmiechnięty powitał ją z nieukrywaną radością w szaroniebieskich oczach.

— Phillido, kochanie. Miło cię znów zobaczyć. Dawno się nie widzieliśmy.

— Zaledwie miesiąc temu — odparła sztywno. Jego serdeczność była podejrzana.

— Mówisz: tylko. Żałuję, że nie mogłem spotkać się z tobą wcześniej, miałem, niestety, dużo zajęć. Proszę tędy.

Dobre jedzenie, miłe towarzystwo i relaks to były rzeczy, których Phillidzie zwykle brakowało. Rozluźniona winem, nieomal zapomniała o celu spotkania.

— Przystąpmy zatem do interesów — powiedział Grant, gdy kelner napelił filiżanki kawą.

— O, tak. Wciąż nie bardzo wiem, dlaczego miałam tu przyjść.

— Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Paryża. Ze zdumienia otworzyła usta.

— Jako moja osobista sekretarka — dodał szybko.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła, dochodząc szybko do siebie. — Zresztą masz Angelę Mildmay.

— Nie chcę jej brać ze sobą. Mam spotkać się z naszymi europejskimi przedstawicielami w celu ewentualnego zawarcia transakcji z potencjalnymi klientami ze Wspólnego Rynku, subwencionowanymi przez stronę brytyjską. Jest to poufna sprawa. Potrzebuję kogoś, komu mógłbym całkowicie zaufać. Właśnie ciebie.

— Ale ja nie pracuję w ten sposób, osobiście nie przyjmuję zleceń. Bez problemu znajdę ci kogoś.

— Potrzebuję ciebie.

Trzymał jej oczy swoim poważnym spojrzeniem, jakby na uwięzi. Z trudem oderwała od niego wzrok i wpatrywała się uparcie w filiżankę.

— Powiedziałam ci już, że to niemożliwe. Prowadzę biuro. „Poza tym — dodała w duchu — nie miałabym odwagi być razem z tobą w Paryżu. To największe głupstwo, jakie mogłabym zrobić. Jedno spotkanie i prawie już zapomniałam, że nie mogę ci ufać. ”

Przerwał jej zamyślenie.

— Nie ma rzeczy niemożliwych, Phillido. Pojedziesz ze mną. Wstała.

— Nie. Dziękuję za obiad, Grant. Muszę wracać. — Uśmiechnęła się, lecz nie dostrzegł tego. — Do widzenia.

Wstał również, jego wysoka postać górowała nad jej kruchą sylwetką. Twarz wyrażała smutek.

— Rozważ moją propozycję, Phillido. Będziemy w kontakcie.

Wyszła dumnym krokiem, nie oglądając się. Nogi jej się trzęsły, twarz palił rumieniec.

Złość stopniowo jej przeszła. Uświadomiła sobie, że od siedmiu lat nie spędziła z nikim tak mile czasu, w ogóle przecież rzadko wychodziła.

Starał się jej przypochlebić w nadziei, że zrobi to, o co prosił. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Grantowi tak bardzo zależało na wspólnym wyjeździe. Z pewnością w grę nie wchodziły przyczyny osobiste. Jaką pułapkę chciał na nią zastawić? Czy liczył na jej niedojrzałość i uległość? Jakoś nie mogła w to uwierzyć.

Telefon zadzwonił w momencie, gdy sięgała po kurtkę, tuż przed samym wyjściem do domu.

— Pan Jackson do ciebie — Dianne zapowiedziała miękkiem, powabnym głosem.

— Pan Jackson? Szef z Centrali? Co on może chcieć o tak późnej godzinie? Połącz go.

— Phillida?

— Dzień dobry, panie Jackson.

— Przepraszam, że tak późno, moja droga. Miałem telefon z Springboard Computer Systems...

O nie! On chyba nie posunął się...

— Pan Davis, szef tej firmy, udaje się do Paryża w przyszłym miesiącu — kontynuował. — Potrzebuje ciebie podczas pobytu tam. Wydaje mi się, że wywarłaś na nim wrażenie osoby kompetentnej. Zresztą nalega, twierdzi że tylko ty się do tego nadajesz. Złożył nam wyjątkowo korzystną ofertę, której nie sposób odrzucić. Prosiłbym, żebyś przygotowała umowę i załatwiła formalności.

— Ale ja nie chcę jechać! — wybuchnęła w panice. Nie mogą jej przecież zmuszać.

— Nie bądź głupia — zbeształ ją. Mogła sobie wyobrazić jego otyłą, starczą twarz bez cienia wyrozumiałości. — To jest dla ciebie wielka szansa. Byłaś kiedykolwiek w Paryżu?

— Nie — wydusiła z siebie.

— Na pewno ci się spodoba. Wszystko jest więc załatwione, prawda?

— Co będzie jeśli odmówię? — Phillida zapytała przez zaciśnięte gardło.

Zapadła złowieszcza cisza.

— Nie rozumiem dlaczego nie chcesz jechać. To jasne że nie mogę zatrudniać na kierowniczym stanowisku osoby, która nie stawia dobra agencji na pierwszym miejscu.

— To z powodów natury osobistej, panie Jackson — błagała. — Niech mnie pan nie zmusza.

— Jesteś proszona o towarzyszenie panu Davisowi na czysto zawodowej płaszczyźnie. To było jasno ustalone. Tu nikt nie żartuje, rozumiesz? Nie masz więc powodu, by odmawiać. Nawet, jeśli nie lubisz

tego faceta, masz z nim być tylko w godzinach pracy. Nie, Phillido nie mogę utracić możliwości współpracy z tak dobrą firmą.

„Pionek w grze. Oto czym jestem dla niego” — pomyślała dotknięta.

Skąd mógł wiedzieć, jak panicznie bała się towarzystwa Granta.

— Panie Jackson — rozpoczęła zdesperowana, ale przerwał jej gwałtownie.

— Dobrze Ci idzie w Hadbury, moja droga i firma dobrze się tam rozwija. Ale dochody nie będą za dobre, jeśli będziemy za dużo brali na wypłaty. Ten dodatkowy zarobek pozwoli ci wyrównać bilans.

Przegrała tę bitwę. Pojedzie do Paryża. Zrobi to, co do niej należy, ale nic więcej.

— W porządku — westchnęła. — Pojadę, ale składam protest.

— Protest przyjęty — pan Jackson odpowiedział szorstko. — Poinformuję pana Davisa — dodał protekcyjnym tonem. — Do widzenia, moja droga. Uszy do góry. Na pewno będziesz zadowolona z tego wyjazdu.

Odłożył słuchawkę. Phillidę opuściły siły. Była wściekła. Przeklęty Grant Davis! Uderzyła pięścią w biurko.

Grant wiedział dobrze, czego chce. I w dodatku był w stanie to osiągnąć. Gdy raz się zdecydował, nic nie mogło go odwieść od realizacji zamierzeń. Cecha godna podziwu na kierowniczym stanowisku, ale... Dlaczego tak się uparł, żeby ją koniecznie zabrać do Paryża? To pytanie wciąż powracało. Nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi.

Zadzwoił następnego dnia rano. Nie była w najlepszym nastroju po bezsennej nocy.

— Grant — zazgrzytała zębami — jesteś podły. Zmuszasz mnie do zrobienia czegoś, na co wcale nie mam ochoty. Dochodzę do wniosku, że manipulowanie ludźmi sprawia ci przyjemność!

— Może wydać ci się to dziwne, Phillido, ale to nieprawda. — Głos Granta brzmiał chłodno, ale jednocześnie przeprasząco. — Mam naprawdę bardzo ważne powody prosić cię, żebyś jechała ze mną i nie mogłem dopuścić, by twój upór zepsuł moje plany.

— To nie był upór! — wybuchnęła. — Ja mam równie ważne przyczyny, żeby z tobą nie jechać. Ale naturalnie moje życzenia w ogóle się nie liczą.

Zaległa cisza pełna napięcia. Grant cichym głosem przerwał ją.

— Twoje życzenia grają wielką rolę, Phillido, ale wydaje mi się, że sama nie bardzo wiesz, o co ci chodzi. Jesteś uprzedzona do mnie przez to, co się stało tyle lat temu. Chciałbym, żebyśmy spróbowali zacząć od nowa. Ten wyjazd będzie wspaniałą okazją do tego.

Phillida ciężko oddychała. Więc jego powód jest jak najbardziej osobisty.

— Wygrałeś jedną rozgrywkę. Nie licz na więcej.

— Wystarczy, jeśli tylko pojedziesz. Będziesz miała dużo roboty.

— Dobrze, kiedy wyjazd?

— Trzeciego czerwca. Lot z Heathrow o jedenastej. Pociąg z Hadbury jest o siódmej trzydzieści. Podjadę pod twój dom o siódmej.

— Nie! — wykrzyknęła rozpaczliwie. Nie może mu pozwolić zobaczyć Andiego. — Nie — powtórzyła już spokojniej. — To nie jest konieczne. Spotkamy się na stacji.

— Jak sobie życzysz — w jego głosie zabrzmiało zdziwienie. —
Jeszcze skontaktuję się z tobą. Na razie!

— Do widzenia — wyszeptała rzucając ze złością słuchawkę.

Miała całe dwa tygodnie na rozmyślanie o tym, co ją czekało. Rodzice wiedzieli tylko, że wyjeżdża w podróż służbową z jakimś bliżej nieokreślonym klientem. Grant telefonował jeszcze dwa razy. Ustalił szczegóły wyjazdu i udzielił kilku niezbędnych informacji.

Andy nie chciał jej puścić. Płakał rzewnymi łzami. Do tej pory nie rozstali się na dłużej niż dzień. Uważał, że go opuszcza. Phillida, aby go pocieszyć, obiecała przywieźć mu miniaturkę wieży Eiffla.

Przypomniała sobie zamieszanie, jakie zrobił podczas pierwszego dnia w szkole. Jak szybko potem przeszedł do porządku dziennego nad tym, że musi kilka godzin spędzić z dala od matki. Postanowiła nie rozczulać się. Ma ważniejsze sprawy na głowie, niż jego kaprysy.

Wchodząc do luksusowego hotelu znajdującego się w pobliżu Pól Elizejskich, Phillida zastanawiała się, dlaczego była zaskoczona jego przepychem. Przecież to nie Grant płacił, amerykańskie dolary pokryją rachunek.

Na wiadomość, że będą mieli sąsiadujące ze sobą pokoje, poczuła się nieswojo. Ta bliskość nie zapewni jej wcale dobrego samopoczucia.

Najgorsze przypuszczenia potwierdziły się, gdy portier pomaszerował ze wszystkimi bagażami do apartamentu Granta, składającego się z salonu, sypialni i łazienki. Postawił z łoskotem walizki i podszedł do drzwi prowadzących do pokoju obok.

— To pani pokój. Czy przynieść pani bagaż tutaj?

— Oczywiście — odpowiedziała sztywno, rzuciwszy wściekle spojrzenie na Granta.

Grant wzruszył ramionami.

— Wybacz. Nie miałem o tym pojęcia.

Phillida przeszła z godnością przez wspólne drzwi, rozglądając się za kluczem. Nie było go.

— Klucz — zażądała od portiera, wskazując na zamek.

— Tutaj, madame. — Podeszedł do komody na ubrania. Otworzył górną szufladę i unizonym gestem podał klucz.

Wzięła klucz, włożyła do zamka, aby się upewnić, czy pasuje. Mężczyzna przeniósł jej bagaże. Po otrzymaniu sutego napiwku od Granta, odszedł.

Grant stał pośrodku salonu z grymasem na twarzy.

— Zły początek. Poproszę o inny pokój dla ciebie, jeśli sobie tego życzysz.

Phillida doszła do wniosku, że Grant tego nie zaplanował.

— Przynajmniej będę miała blisko do pracy. To chyba tutaj będę urzędować. — Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Z ulgą odwzajemnił jej uśmiech.

— Tak. O, już niosą maszynę do pisania. — Zawahał się przez chwilę, zanim zadał ostrożnie następne pytanie. — Czy uznamy ten pokój za terytorium neutralne?

Pokiwała twierdząco głową. Zerknął na zegarek i mówił dalej szybko:

— Pora obiadowa prawie się skończyła. Jeśli się pospieszymy z toaletą po podróży, to jeszcze zdążymy coś zamówić. Będę czekał na ciebie za pięć minut.

Gdy siadali do posiłku, Phillida czuła się jeszcze skrepowana. Grant nie żałował jej francuskiego wina i wkrótce rozluźniła się. Ochoczo przystała na jego propozycję wyprawy nad Sekwanę w ramach wypoczynku po podróży.

Ubrała dzinsy i kremowo zielony sweter, zarzuciła na ramiona lekką, wełnianą kurtkę.

Grant przebrał się w czarne spodnie, czarną koszulę i szarą kurtkę. Zawsze ubierał się w ciemne kolory, ale było mu z tym do twarzy.

— Taksówka, autobus czy metro? — zapytał, po wyjściu z hotelu.

Phillida nie zastanawiała się ani chwili:

— Metro! — wykrzyknęła w podnieceniu. Wszystko, co dotyczyło Granta, miało dla niej posmak przygody. Nie mogła odmawiać czy toczyć z nim walkę, gdy proponował jej właśnie to, na co miała ochotę. Opuścił ją gniew i wszystkie jej postanowienia, oprócz jednego: nie zaangażować się emocjonalnie.

Weszli na Pola Elizejskie, tę piękną, trzypasmową aleję. Łuk Triumfalny górował nad nimi, gdy zbliżali się do najbliższej stacji metra.

Grant podał jej cztery z dziesięciu zakupionych właśnie biletów.

— Proszę, to dla ciebie. Z nimi możesz jechać, gdzie i kiedy chcesz.

— Dziękuję. — Przyjęła bilety i wrzuciła do torebki. — To nie będę pracowała?

— Będiesz, i to ciężko. Ale mam nadzieję, że nie cały czas.

Z Alma-Marceau przespacerowali się na nadbrzeże. Wsiedli na pokład olbrzymiego statku „Mucha”. Choć właściwie nie było tłoku, Phillida przysunęła się bliżej barierki. Krępowała ją bliskość Granta siedzącego obok.

Uspokoila z wysiłkiem nerwy. Nie pozwoliła, by kontakt z tym muskularnym ciałem zepsuł jej radość wspaniałego popołudnia. Szeroka przestrzeń rzeki działała na jej zmysły do tego stopnia, że prawie była w stanie zignorować jego obecność. Prawie. Próbowwała ze wszystkich sił, lecz wciąż była świadoma tej bliskości.

Sekwana to piękna i malownicza rzeka. W to czerwcowe popołudnie wydawała się jeszcze bardziej tajemnicza. Miasto, widoczne po obu jej brzegach, sprawiało wrażenie żywcem wyjętego z jakiejś bajki. Szare dachówki, spadziste dachy, wieżyczki rozmaitego kształtu i wielkości, fantazyjne kominy i kamienne fasady — to wszystko wywierało na dziewczynie ogromne wrażenie.

Wyglądało to bardzo naturalnie, że ramię Granta spoczywa na oparciu jej fotela. Zwłaszcza, gdy nachylał się, by podziwiać przesuwające się za oknem widoki. Ona również wyteżala wzrok, aby niczego nie przegapić, więc nie mogła go winić za to, że przysunął się do niej. Jego bliskość wywołała uczucie, którego nie potrafiła zignorować. Nie mogła wykonać ruchu, właściwie nie chciała. Dodawało to jeszcze uroku i tak już wspaniałemu przeżyciu.

Statek minął Luwr. Grant cicho zagwizdał jakąś melodię.

W pamięci odszukała należące do niej słowa. Spojrzała oskarżycielsko w jego stronę. Rzeczywiście: „Pod mostami Paryża”!

Intencja była oczywista! Oczy Granta błyszczały. Wskazał bliźniacze wieże Notre Dame górujące nad miastem.

— Warto było przyjechać? — spytał miękko głosem, gdy przepływali poniżej murów katedry.

— Zapiera dech w piersi — przyznała.

Wracając podziwiali wieżę Eiffla. Phillida zadarła głowę do góry.

— Zastanawiam się gdzie mogłabym kupić miniaturkę wieży — powiedziała w zadumie.

— Nieomal wszędzie. Tak myślę — odparł Grant. — Po co ci to?

— Dla... eee... przyjaciela.

Zamilkła. Niewiele brakowało, a zdradziłaby się.

— Taka podróż statkiem daje wyobrażenie o Paryżu, którego nie poznasz chodząc po samych tylko ulicach — zauważył Grant, gdy statek przybijał do nadbrzeża.

— Z drugiej strony, spacerowanie po ulicach daje szansę poznania atmosfery Paryża. Czy możemy wrócić na piechotę?

— Czemu nie? To był tylko jeden przystanek, nie powinno być daleko.

Już na brzegu przyglądał się mapie przez chwilę, potem uśmiechnął się.

— Popatrz — wskazał palcem. Phillida nachyliła się.

— Jeśli czujesz się na siłach, możemy podejść w okolice Luwru.

Potem wrócimy przez plac Zgody.

— To chyba nie będzie zbyt długa droga. Poza tym czuję się świetnie!

I stało się. Po bardzo dokładnym obejrzeniu urzekającej architektury Luwru, wracając przez przepiękne ogrody Tuileries trzymali się za ręce. Phillida nie wiedziała, jak to się stało. Gdy zorientowała się, wyrwała gwałtownie dłoń z jego uścisku. Była zdenerwowana i zakłopotana.

Grant popatrzył na swoją dłoń tak, jak gdyby nie należała do niego. Dopiero po chwili spojrzął w jej wzburzone oczy.

— To było instynktowne — powiedział cicho. — Wybacz mi, jeśli sprawiłem ci przykrość.

— Cholera! Grant, dlaczego mnie tu właściwie przywiozłeś? — powiedziała zdławionym głosem. — Wracajmy!

— Nie, Phillido. Nie bądź dzieckiem. Miło spędzamy czas, więc nasze ręce splotły się tak, jak to bywało kiedyś. Dlaczego nie chcesz abyśmy zaczęli od nowa?

— Ponieważ nie chcę zostać na lodzie, opuszczona przez kogoś, kto nie był nawet na tyle uczciwy, by odpisywać na moje listy — odcięła się. W jej głosie brzmiała gorycz.

Zatrzymał się gwałtownie, spojrzął jej prosto w twarz. Oczy miał smutne.

— Wtedy nie było sensu liczyć, że los wszystko rozwiąże. Miałem swoje do zrobienia, myślałem, że będzie lepiej, jeśli nie będę pisał, że... zapomnisz o wszystkim... szybciej.

Nie zwrócił uwagi na jej parsknięcie pełne pogardy. Mówił dalej.

— Phillido, kiedy wróciłem, spodziewałem się że będziesz mężatką. Jednak tak się nie stało. Nigdy cię nie zapomniałem. Nigdy także nie czułem w stosunku do kogoś innego tego, co czułem do ciebie.

— Głęboką i wierną miłość! —zadrwiła.

— Nie udaję tego! W dodatku zostawiłem dziewczynę, a wracam i widzę piękną i pociągającą kobietę. Chciałbym, żeby teraz wrócił tamten czas.

— Chciałbyś? — szydziła zbyt gorzko, by dostrzec komplement i szczerłość w tym, co powiedział. — I wyobrażasz sobie, że szybko zapomniałam o tobie? Oczywiście, że tak — nie było przecież czego zapominać: dziewczęcego oczarowania.

Rzucił jej przelotne spojrzenie, ale przyjął zarzut.

— To mogło przerodzić się w coś więcej, zdawałem sobie z tego sprawę. Wiedziałem, że nie mogę do tego dopuścić. Uwierz mi, Phillido, to było dla mnie piekielnie ciężkie i bolesne — zostawić cię. Ale nie zawsze możemy mieć wszystko, co chcemy. Musiałem wybierać.

— Więc wybrałaś karierę — zauważyła kwaśno. — Nie można nic więcej dodać, nieprawdaż? — Odwróciła się i ruszyła powoli przed siebie.

Przeszli wzdłuż potężnego, prawie nieruchomego rzędu samochodów korka ulicznego na placu Zgody, nawet go nie dostrzegając. Sławny obelisk również nie przyciągnął ich uwagi.

„O Boże! — pomyślała Phillida. — Do końca tygodnia, jak tak dalej pójdzie, nie będę miała w ogóle siły, by mu się oprzeć. ”

Nieświadomie trzymała jego dłoń.

Tym razem ręka nie drgała jej nerwowo. Wiedziała już, choć serce jej na moment zamarło, że znowu połączyło się dwoje ludzi, którzy do siebie należeli. Ludzi, którzy byli kiedyś ze sobą szczęśliwi. Uświadomiła sobie, że chce przeżyć swoje życie razem z nim.

Niestety, nie potrafiła. Jej uczucia tłumił strach. Kariera zawsze dla niego będzie najważniejsza. I był jeszcze Andy.

Rozdział IV

Grant zatrzymał się przed skromną restauracją. Zwróciwszy wzrok w jej stronę, uśmiechnął się niepewnie.

— Zjedzmy coś — zaproponował cicho. — Nie wiem jak ty, ale ja nie bardzo mam ochotę wracać i przebierać się, by zjeść w hotelu.

— Dobrze.

Jego twarz promieniała, gdy wprowadzał Phillidę do środka. Pękata butelka wina towarzyszyła wspaniałemu posiłkowi. Gdy po posiłku pojawiły się na stole apetyczne kawałki tortu, Phillida zachichotała.

— Andy miałby na niego ochotę.

— Andy?

Za późno zorientowała się, że wino uczyniło ją zbyt rozmowną. Była już wystarczająco zarumieniona od ciepła i alkoholu, dlatego gwałtowny przypływ krwi do twarzy przeszedł niezauważony. Była zakłopotana.

— Mmm... mały chłopczyk, którego znam — powiedziała szybko.

Grant uśmiechnął się.

— Z Daiton?

Prawie straciła zdolność mówienia. Pokiwała głową.

Zainteresowanie Granta było niewielkie, po prostu podtrzymywał rozmowę. Uświadomiła to sobie z ulgą. Jeśli uda jej się zrećznie wyjść z opresji, nie będzie niczego podejrzewał. Uśmiechnęła się ciepło do niego, popijając kawę. Miała nadzieję, że nie zapyta o nic, co zmusiłoby ją do kłamstwa.

Jego spojrzenie stało się niezwykle, w połączeniu z uśmiechem sprawiało ból jej sercu.

— Phillido... — wyszeptał. Wydawało się, że brakuje mu tchu. Poczula ciężar jego wzroku, z trudem odwróciła twarz. Nie może do tego dopuścić.

Gwałtownie zerwała się na równe nogi. Zmusiła głos do posłuszeństwa.

— Chciałabym już iść.

Przez ułamek sekundy nie wiedział, co zrobić. Błyskawicznie doszedł do siebie.

— Poproszę o rachunek, usiądź jeszcze na chwilę. Zajęła swoje miejsce. Nogi trzęsły się jej tak samo,

jak i głos. Głowa ją bolała, w uszach szumiało, gdy Grant wezwawszy kelnera płacił rachunek. „To musi być wpływ wina” — pomyślała. Było dla niej szokiem, gdy uświadomiła sobie, jak działał na nią Grant. Nieomal zapomniała, że temu mężczyźnie nie mogła zaufać.

Hotel był tylko o sto metrów dalej. Gdy znaleźli się na Polach Elizejskich, Grant szedł obok niej, z rękoma w kieszeniach. Był bardzo zamyślony.

Aleja wciąż roiła się od spacerowiczów. Uliczne kawiarenki hałaśliwie tętniły życiem. Phillida z zadumą pomyślała, że chętnie usiadłaby w jednej z nich, aby popatrzeć na ludzi przechodzących obok. Nie miała właściwie ochoty na powrót do hotelu.

Grant jakby czytał w jej myślach. Zatrzymał się przy jednym z pustych stolików.

— Nie dokończyłaś wtedy kawy — przypomniał. Powstrzymywany uśmiech był tylko lekko widoczny. — Może napijemy się tutaj? Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

W odpowiedzi wymusiła z siebie niezdecydowany uśmiech.

— Dobrze. Z chęcią.

Bruzdy na jego policzkach pogłębiły się, oczy rozjaśniły.

— To znacznie lepsze, niż powrót do pustego pokoju hotelowego.

Tak, pustego. Ciepło w jego oczach mówiło, że pokój nie musiał być pusty... Zdecydowanie przywołała myśli do porządku.

„Weź się w garść — wyszeptała do siebie z furją. —

Gdzie jest twoja samodyscyplina, z której jesteś taka dumna? Ten mężczyzna nie jest dla ciebie. Pamiętaj, że nie chcesz i nie potrzebujesz mężczyzn w swoim życiu!”

Usiadła na krześle wskazanym przez Granta. Zaraz dobiegły ją dźwięki muzyki. Rozejrzała się, by odkryć ich źródło i dostrzegła grupkę ulicznych muzykantów. Gdy odwróciła się w stronę Granta, spostrzegła, że bardzo uważnie przygląda się jej twarzy.

Natychmiast się uśmiechnął udając, że nie zauważył jej zmieszania.

— Podobają ci się?

— Są cudowni — odparła.

— W takim razie rzucimy im franka. — Sięgnął do kieszeni.

Niech to diabli! Nie było dobrze. Gdy miał ją przy sobie podczas tego wyjazdu, nie było szans na to, że ucieknie jego wnikliwej obserwacji. Będzie musiała kontynuować walkę aż do niedzieli. Dopiero wtedy powróci do normalnego trybu życia.

Podparła głowę ręką, zamieszała kawę tak gwałtownie, że rozlała trochę na spodek. Zapomniała jej nawet posłodzić. Szybko przełknęła stygnący napój i skoncentrowała uwagę na orkiestrze.

— Zastanawiam się, kim oni są — dumiała głośno. Grant wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia. Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku nachylił się w kierunku Granta i Phillidy.

— Studenci. — Odpowiedź przyszła w doskonałej angielszczyźnie, choć z silnym francuskim akcentem. — Grają, by zarobić pieniądze na studia.

Phillida odwzajemniła się uprzejmym uśmiechem. Mężczyzna był młody, nie miał więcej niż trzydzieści lat. Dość przystojny, choć na francuski sposób.

— Dziękuję — powiedziała.

— Może stać nas na więcej, niż na jednego franka? — zapytała żartobliwie.

— Dlaczego nie? — Grant uśmiechnął się. — Proszę, podaj im to.

Napięcie, które dotąd towarzyszyło Phillidzie, powoli ustępowało. Częściowo sprawił to zachód słońca i zapalające się latarnie. Siedziała zauroczona, oparłszy brodę na rękach przypatrywała się otoczeniu. Wraz z przyjściem wieczoru ochłodziło się. Sięgnęła po kurtkę. Grant zaoferował jej pomoc w nakładaniu, lecz odmówiła.

— Wracamy? — zaproponował.

— Tak — westchnęła. — Jestem zmęczona. Niewątpliwie będziesz jutro ode mnie oczekiwał, żebym zapracowała na pieniądze, które mi płacisz.

Podniósł brwi zdziwiony.

— Już na nie zapracowałaś. Sam twój widok, kiedy dobrze się bawisz, wart jest tych pieniędzy. Ale masz rację. Jutro będzie ciężki dzień.

Wstał, powstrzymując się od tego by jej pomóc. Przez ostatnią godzinę nie zamienili więcej niż kilka zdań, a jednak poczucie bliskości między nimi wzrosło. Phillida nie znalazła sposobu, by się temu przeciwstawić. Nawet kłótnia pogłębiłaby tę więź. Grant nie wziął sobie do serca jej początkowej oziębłości.

Następny dzień rzeczywiście był bardzo pracowity. Cały ranek Grant spędził ustalając szczegóły umowy handlowej, która miała być zawarta z francuską firmą przemysłową. Do obiadu umowa była prawie gotowa. Grant wyszedł na wspólny posiłek z klientami. Phillida wróciła do hotelu przepisać na maszynie notatki ze spotkania.

Elektryczna maszyna do pisania jeszcze hałasowała, gdy Grant wrócił z restauracji. Rzucił okiem na to, co zdążyła już przepisać. Uśmiechnął się z uznaniem.

— Marnujesz się, prowadząc tę swoją agencję — powiedział. — Byłabyś pierwszorzędną sekretarką dla każdego menadżera.

— Zgadza się, ale nie lubiłabym takiej pracy. Wolę swoją w agencji, jest bardziej urozmaicona.

Uśmiechnął się smutno.

— Zapomniałem, że w agencji jesteś szefem sama dla siebie. Tak po prostu przyszło mi to na myśl.

Zamówił coś do picia i zaczął układać swoje papiery. Spojrzał na nią szybko i jednocześnie zaczął mówić:

— Obawiam się, że będę musiał cię opuścić dziś wieczorem, Phillido. Jestem zaproszony na kolację z europejskimi przedstawicielami naszej firmy. Sekretarki nie zostały zaproszone. Ale po kolacji wracamy tutaj, więc możesz do nas dołączyć.

— Możesz? Chcesz, żebym przyszła, czy nie? — zapytała gwałtownie.

Oglądał swoje palce. Phillida mogłaby przysiąc, że poczerwieniał. Podniósł na nią wzrok.

— Chcę ciebie, Phillido — powiedział ochryłym głosem.

Phillida zamarła, oblała się rumieńcem. Drżenie, jakiego dotąd nie znała, przebiegło przez jej ciało. Czy on zdawał sobie sprawę z tego, co robi?

— Nie to miałam na myśli, Grant — odrzekła drżącym głosem.

— To ja przepraszam — powiedział. Jego głos był wciąż chrapliwy, niepodobny do jego normalnego lekkiego tonu. Odchrząknął i mówił dalej:

— Właściwie to chciałem powiedzieć, iż pragnąłbym, żebyś przyszła, ale to już zależy od ciebie.

— Rozumiem. Co mamy do zrobienia jutro?

— Konferencje, cały dzień. Będziesz musiała na nich być.

— W takim razie dziś wieczorem zajmę się swoimi sprawami, dziękuję.

Lekceważąc rozczarowanie i ból, który dostrzegła w jego oczach, odwróciła się tyłem. Jej palce drżały tak mocno, że z trudem trafiała w odpowiednie klawisze maszyny do pisania.

Później Phillida zastanawiała się, czemu się tak zachowała. Wieczór zapowiadał się ponuro. Mimo, że zwiedzanie Paryża było niezwykle ekscytujące, nie miała większej ochoty robić tego sama. Ważniejsze było jednak ukaranie jego pewności siebie.

Zdecydowanie odrzuciła myśl o nim. Żwawo przebrała się, zarzuciła wesoło torbę na ramię.

Ma bilety do metra, więc popodróżuje trochę. Uśmiechnęła się do siebie, zjeżdżając windą. Urok lewego brzegu Sekwany był tak nieodparty, że pojechała w kierunku Odeonu.

Rozpoczęła przechadzkę uliczkami, zafascynowana malowniczym otoczeniem, niezliczonymi barami i kawiarenkami. Większość z nich była okupowana przez młodzież, jak przypuszczała, studencką.

Krążąc niezdecydowanie w pobliżu piwiarni, całkowicie pochłonięta swoimi myślami nieomal podskoczyła, gdy ktoś położył dłoń na jej ramieniu.

— Cześć — powiedział jakby znajomy głos.

Odwróciwszy się zobaczyła uśmiechniętego mężczyznę, który poprzedniego wieczoru wtrącił się do rozmowy jej i Granta.

Odetchnęła z ulgą.

— Wystraszył mnie pan.

— Przepraszam. Nie było to moim zamiarem. Pani jest dzisiaj sama?

Przez moment Phillida walczyła z pokusą, by zaprzeczyć. Ale po co, i tak widzi, że jest sama.

— Tak — przyznała w końcu. — Mój... — wahała się ułamek sekundy, jak nazwać Granta. Przystała na to, co było prawdą, przynajmniej przez ten tydzień. — Mój pracodawca jest zajęty dziś wieczorem. Interesy. A ja sobie zwiedzam.

— On jest pani szefem? Jest chyba kimś więcej. Tak mi się wydaje, patrzy na panią takim wzrokiem... — ściągnął wargi i uniósł dłonie w typowo francuskim geście.

Phillida poruszyła się skrepowana.

— Chyba ma pan zbyt bujną wyobraźnię.

— Ależ nie! Widziałem to w jego oczach. A pani? Czy pani go lubi?

— A moje oczy tego panu nie powiedziały? — Odparła cierpko, zirytowana jego natarczywością.

Uśmiechnął się i jej oburzenie minęło pod wpływem jego iskrzących się oczu. Zmarszczył twarz, przybierając minę zwycięzcy. Na ruchliwych ustach pojawił się psotny uśmiech. Wzruszył ramionami w przesadnym geście.

— Nie mogę tego powiedzieć. Nie widziałem wtedy pani oczu, mademoiselle. Ale teraz widzę, że są bardzo piękne. Czy pani miała zamiar coś zjeść? Myślę, że pani pozwoli, bym jej towarzyszył w tej niezwyklej przechadzce, nieprawdaż?

— Nie wiem...

— Proszę, mam'selle. Sprawi mi to ogromną przyjemność.

Uśmiechnął się i Phillida nie wiedziała, co począć. Nie ulega wątpliwości, że był czarujący. Jego angielski nie był bez skaz, ale posługiwał się nim z urzekającą pewnością siebie, która ją szczególnie bawiła. Dopóki byli wśród innych ludzi, nic jej nie groziło.

— Dobrze. Czy to jest odpowiednie miejsce, żeby coś zjeść?

— Jeść tutaj to prawdziwe przeżycie, mam'selle.

Wprowadził ją do środka i wybrał dwa z kilku wolnych miejsc przy długim, wspólnym stole. Phillida siadła naprzeciwko niego, zaintrygowana niezwyklej wystrojem wnętrza.

Jej towarzysz przesłał uśmiech.

— Powinienem się przedstawić. Jean-Pierre Laval, do twoich usług, mam'selle. Proszę mnie nazywać Jean-Pierre.

— Phillida Dennison.

— Phillida — wymówił trochę zniekształcając, co wywołało przyjazny uśmiech na jej twarzy. W jego ustach to imię brzmiało inaczej. Było pełne ekspresji.

Nagle odkryła, że dobrze się bawi. Ona, stateczna Phillida Dennison, matka sześciolatniego chłopca, siedziała w restauracji w sercu Paryża, z obcym Francuzem u boku. Gdyby matka ją widziała!

— Co będziesz jadła? — zapytał wciskając jej w ręce menu. — Proponuję sałatkę z pomidorów i kotlet z jagnięcia w jarzynach.

— O'kay — zgodziła się Phillida, gotowa zjeść cokolwiek. Jean-Pierre zamówił dla nich dwie porcje.

Gdy jedli, przechodnie i przejeżdżające za oknem samochodu tworzyły nieustannie zmieniającą się scenerię. Bardzo podobało się to Phillidzie. Pełne werwy uwagi, czynione przez Jean-Pierre'a, który wytrwale ją rozbawiał, wprawiły ją także w doskonały humor.

Gdy popijali kawę, Francuz pochylił się w jej kierunku i ujął jej dłoń. Jego dotyk był naturalny, nie niepokojący w najmniejszym stopniu. Skwitowała to szczerym uśmiechem. Ich oczy spotkały się.

— Jak smakowało? — zapytał.

— Dziękuję, było wspaniałe. Czy często tu jadasz?

— Non. Zwykle jadam w domu. Nie zamierzałem jeść kolacji dzisiaj, tutaj, ale zobaczyłem ciebie, Phillido. Chciałem być z tobą. Mam nadzieję, że się nie gniewasz?

— Dlaczego miałabym się gniewać? Chyba, że jesteś żonaty.

Zaśmiał się.

— Non, ma chérie. Nie jestem żonaty. Mieszkam samotnie, więc możesz sobie wyobrazić, jaką radość sprawiła mi kolacja z tobą. —

Delikatnie ścisnął jej rękę. — Chciałbym cię zabrać do jednego miejsca, gdzie można posłuchać muzyki. Ty w swoim języku nazwałabyś to miejsce — cellar. Czy przyjmujesz zaproszenie?

Szukała w jego oczach śladu przebiegłości, lecz bez skutku.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko stąd. Odprowadzę cię potem do hotelu. Proszę, pójdźmy.

Phillida przyglądała się jego twarzy. Doszła do wniosku, że jest już dorosłą osobą, zdolną do decydowania za siebie. A zapowiada się ciekawa przygoda.

— Dziękuję za zaproszenie. Pójdę z przyjemnością.

— Cieszę się — zerwał się na równe nogi. — Poproszę rachunek! — zawołał. Kelnerka pospieszyła do stolika.

— Przejdziemy się piechotą — poinformował, podając ramię. Skierowali się wzdłuż alei. — Tak jak powiedziałem, to nie jest daleko.

Szli w milczeniu przez kilka chwil. Nagle Jean-Pierre rzucił jej żartobliwe spojrzenie.

— Twój szef chyba będzie żałował, że musiał pracować. Czy to było bardzo ważne?

— Czy ja wiem? Po prostu kolacja z kolegami. Ale nie mógł odmówić.

— Aha. Ci koledzy to Francuzi?

— Chyba niektórzy. Reszta pochodzi z innych krajów Europy.

— Jego firma musi być bardzo ważna.

— Tak. Centrala jest w Stanach.

— To tak! Więc są tutaj także Amerykanie?

— Grant jest tylko przedstawicielem firmy. — Phillida miała już dość rozmowy o pracy Granta. Chciała o nim zapomnieć choć przez ten wieczór. Dopóki Francuz jej o nim nie przypomniał, prawie jej się to udało.

— Czy daleko jeszcze? — zapytała, by zmienić temat.

— Non. Jeszcze tylko pięćdziesiąt metrów. O, tam widać już wejście.

Były to wąskie drzwi, za którymi w dół wiodły jeszcze węższe schody. W suterenie panował ogłuszający hałas. Powietrze ciężkie było od dymu francuskich papierosów i zapachu wina. Przez chwilę Phillida pożałowała, że zgodziła się przyjść, ale widok poważnych ludzi słuchających francuskich pieśni uspokoił ją.

— Usiądźmy tutaj — powiedział Jean-Pierre wprowadzając ją do środka. Posłusznie usiadła na ławce ustawionej nieopodal ściany. Jean-Pierre objął ją ramieniem i przytulił. Przestraszona podniosła wzrok i spotkała jego roziskrzony oczy.

— Czy jest ci wygodnie? — zapytał z uśmiechem.

Kiwnęła głową. Zaczepił przechodzącego kelnera i zamówił dwie lampki czerwonego wina. Phillida rozluźniła się. Była zdecydowana dobrze się bawić.

Muzyka, choć głośna, miło brzmiała w uszach. Kawiarenka tętniła życiem. Bliskość Jean-Pierre'a potęgowała uczucie radości. Było to dla niej coś zupełnie nowego: spotkanie z mężczyzną, któremu wyraźnie się podobała. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego unikała bliższego kontaktu z mężczyznami przez tak długi czas. Nie wiedziała wtedy, co traci.

Podczas gdy zespół opuszczał scenę, Jean-Pierre nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Ale Phillida zdawała sobie sprawę z tego, co kiedyś było tylko instynktownym przeczuciem. Mężczyzna zachęcony przez nią zażądałby więcej, niż mogłaby dać.

Cofnęła gwałtownie głowę.

— Nie, Jean-Pierre. — Wybacz, ale nie rozdaję pocałunków na prawo i lewo.

Zasmucił się.

— Nie jestem właściwym mężczyzną, nieprawdaż?

Poczerwieniała. Nie chciała mu spojrzeć w oczy.

— Nie ma nikogo takiego — zaprotestowała.

— Nawet nie twój szef? — zapytał drażniąc ją. — Sprawiał wrażenie, że cię lubi.

— Nie! — krzyknęła porywczo. — Ależ nie!

— „Myślę — zacytował miękko — że pani zbyt mocno protestuje!”

Jej zakłopotanie przemieniło się w zdziwienie. Rzuciła mu zaciekawione spojrzenie.

— Twój angielski jest zdumiewająco dobry. Gdzie się tak dobrze nauczyłeś?

— Studiowałem na Sorbonie. Spędziłem także wiele czasu w twoim kraju podczas wakacji. Jeździłem tam również w interesach.

— Gdzie pracujesz?

— Tu i ówdzie. Głównie zajmuję się tłumaczeniem.

— Posługujesz się jeszcze innymi językami?

— Większością europejskich, ale tylko trochę.

Zaśmiała się.

— Przydałbyś się nam. Jutrzejsza konferencja to będzie istna wieża Babel.

— Jestem do usług.

Z żalem pokręciła głową.

— Nie da rady, niestety. Wszystko jest otoczone ścisłą tajemnicą. Nikt z zewnątrz nie jest dopuszczony. Ale mimo wszystko, dziękuję za twoją gotowość.

— Co może być aż takie ważne? — rozważał głośno zaintrygowany.

— Macie jakieś powiązania z przemysłem zbrojeniowym? Może z NATO?

— Ależ nie! Po prostu komputery. Z tego co wiem, to dokonano jakiegoś ważnego kroku w rozwoju technologicznym. Jeśli to by się rozeszło, firma splajtowałaby.

— Wiesz co to jest?

— Jeszcze nie. Chociaż niedługo się dowiem. Nawet jeśli zrozumiem, o co chodzi, nie puszczę pary z ust.

Zachichotał z zachwytem.

— I nikt na świecie nie będzie mógł cieszyć się pięknem twoich ust, gdy mówisz.

— Tylko tortury średniowieczne zmuszą mnie, żebym coś wyśpiewała — zażartowała.

Poruszenie wśród widowni zapowiedziało powrót zespołu. Rozmowa stała się niemożliwa. Upłynęło sporo czasu, zanim Phillida spojrzała na zegarek.

— Muszę iść. I tak już nie zdążę przed północą. Grant będzie się zastanawiał, gdzie się podziałam.

Jean-Pierre wstał i przeprowadził Phillidę z wielką wprawą przez gęsty tłumek. W metrze przytulił ją do siebie. Jej ciało przyłgnęło do niego. Nie protestowała. Nie było warto. Znajomość i tak nie miała szans na przetrwanie.

Gdy rozstawali się połaskotał ją pod brodą i musnął delikatnie wargami jej nos.

— Dobranoc, Phillido. Dziękuję za nieoczekiwane spotkanie.

— Dziękuję, Jean-Pierre. Naprawdę miło upłynął nam wieczór.

— Wystarczająco miło, byś spotkała się ze mną jutro?

— Nie wiem... Grant może mnie potrzebować.

— Kiedy wyjeżdżasz? — spytał.

— W sobotę rano.

— Hmm. Dziś dopiero wtorek. Może w czwartek?

— Może. — Jego upór schlebiał jej. Ponadto była to pokusa. — Naprawdę nie wiem, jakie są plany. — Uśmiechnęła się do niego. — To się dopiero okaże.

— Spotkamy się w kawiarni, gdzie zobaczyłem cię po raz pierwszy. Szósta trzydzieści w czwartek. Jeśli nie dasz rady, przedzwoń.

Szybko napisał numer swojego telefonu i wręczył jej kawałek papieru.

— Gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość na taśmie.

— Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

— Do zobaczenia, kochanie.

Rozdział V

Gdy następnego dnia rano zjawiała się w pracy, Grant był nachmurzony. Phillida przypatrywała mu się uważnie.

— Jak minął wieczór? — spytała uprzejmie.

— Dobrze, dziękuję. Gdzie byłaś, do licha?

— Zwiedzałam Dzielnicę Łacińską — odpowiedziała łagodnym głosem. — Bardzo ciekawe miejsce.

— Było już dobrze po północy, gdy wróciłaś — oskarżył ją zjadliwie. — Odpowiadam za ciebie podczas pobytu tutaj. Co przeskrobałaś?

— Dziękuję! Nic nie przeskrobałam. — Nie jesteś moją niańką — poinformowała go lodowato. — Jestem już dostatecznie dorosła, by móc odpowiadać za siebie.

— Zastanawia mnie to, Phillido. Jesteś taka niewinna. Co robiłaś przez cały ten czas?

Zabolało ją to. Odpowiedź wypowiedziała ostrym tonem:

— To nie twój interes! Zjadłam kolację i poszłam do kawiarni posłuchać muzyki ludowej. Dobrze się bawiłam.

— Sama? — Spojrzał na nią podejrzliwie.

— Mówiąc szczerze, nie. Spotkałam tego człowieka, który rozmawiał z nami o muzykach. Pamiętasz go?

— Tak. Wyglądał na prawdziwego Casanovę.

— Wcale nie. Bardzo miły człowiek. Umówiłam się z nim na czwartek.

Podszedł do niej i schwycił ją za ramiona.

— Phillido, proszę nie idź! — powiedział błagalnym tonem.

Popatrzyła na niego przekornie.

— A czemuż to?

— To niebezpieczne spotykać się z kimś tak przypadkowo poznanym. Nie zdajesz sobie z tego sprawy. Poza tym miałem inne plany...

Zaparło jej dech i ścisnęło w dołku, gdy uświadomiła sobie, że naprawdę był zaniepokojony. Chciała rzucić się w jego ramiona, pocieszyć go.

Zamiast tego wyprostowała się, strząsając z siebie jego rękę.

— Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że będziesz miał pracę dla mnie na ten wieczór. Oczywiście odwołam spotkanie.

— To nie praca. Mam bilety do opery.

— O!... — rozpoczęła, starając się zebrać myśli. Przerwał jej nie dając szansy, żeby dokończyła.

— Ale zrobisz, jak uważasz. Oczywiście wolisz towarzystwo tamtego mężczyzny, od mojego. Tylko uważaj na siebie.

— Będę uważała.

W takiej sytuacji nie mogła odwołać spotkania i pójść z Grantem, tak jak się tego domagał jakiś wewnętrzny głos rozsądku. Im mniej czasu spędzi z Grantem, tym lepiej dla niej.

Otrzymali telefon, że pierwszy z szefów firmy był już w drodze do góry. Inni wkrótce za nim dołączą.

Tematem dyskusji był nowy projekt zestawu komputerowego z nowoczesnym oprogramowaniem. Cały przemysł komputerowy będzie zagrożony, gdy nowy projekt pojawi się na rynku.

W przemówieniu wygłoszonym przez przedstawiciela amerykańskiej centrali omówione zostały wszystkie możliwości tego zestawu.

Wspomniał on także o gigantycznej akcji marketingowej wymaganej do dobrej sprzedaży tak niezwykłego komputera. Plany przedsiębiorstwa wybiegały aż na rok naprzód. Przez ten czas utrzymanie projektu w całkowitej tajemnicy było niezbędne.

Spotkanie skończyło się o piątej. Phillida była zmęczona. Al Harper, Amerykanin, uśmiechnął się do niej.

— Wyglądasz na wykończoną, złotko. Ciężki dzień, prawda?

— Niełatwo wysiedzieć na krześle tyle czasu.

— Doskonale się spisujesz. Postawię ci kolację dziś wieczorem.

Phillida spojrzała rozpaczliwie na Granta. Al był starszym, grubawym, a w dodatku zuchwałym Amerykaninem.

Nie miała najmniejszej ochoty na bliższy kontakt z nim.

— Nie wiem czy pan Davis...

Grant od razu zorientował się, o co chodzi.

— Wydawało mi się, Al, że kolację jemy wszyscy razem.

Al przybrał naburmuszony wyraz twarzy.

— Niestety, jemy razem. Ale miałem ochotę o tym zapomnieć i porwać tę piękną, młodą panią do miasta. Wybacz, złotko. — Wzruszył ramionami, przesyłając jej szelmowski uśmiech. — Jeśli on ma zamiar się dołączyć, to ja wciąż stawiam. I jak?

— Dziękuję, propozycja przyjęta.

— Okay. Do zobaczenia później. Spotkamy się w barze, u mnie w hotelu. Siódma trzydzieści. Na razie.

Wyszedł, a wkrótce za nim pozostali. Grant spojrzał na Phillidę.

— Cieszę się, że idziemy razem. — Nagle jego twarz rozjaśniła się.
— Nie rozumiem, dlaczego nie chciałaś przyjąć tego zaproszenia.

— On jest zbyt wielki, jak dla mnie.

— Ależ skąd, trzeba lubić tych amerykańskich koleśków.

Tym razem po prostu parsknęła śmiechem.

— Grant, to było dobre! Muszę się zabrać za te notatki.

— Nie dzisiaj. Będziesz miała na to czas jutro rano. Następne spotkanie jest dopiero po obiedzie.

— To pewne?

— Całkowicie! Idź odpocząć. Przygotuj się do wieczornego wyjścia.

— Nie bardzo wiem, co mam włożyć.

— Nie zabrałaś ze sobą sukni wieczorowej?

— Tylko krótką.

— Ubierz ją, a wszyscy będą pożerać cię wzrokiem.

— Wątpię. Ale w gruncie rzeczy lubię się stroić. Phillida ubrała ulubioną sukienkę koloru dojrzałych truskawek. Wiedziała, że fason podkreśla jej figurę. Również czerwony kolor w połączeniu z jej czarnymi włosami i iskrzącymi się niebieskimi oczami robił dobre wrażenie.

Kładąc dłoń na klamce, zatrzymała się na chwilę, by się uspokoić. Zdawała sobie sprawę, że wygląda pociągająco i że ubrała się tak dla Granta. Inni mogli dla niej nie istnieć. Był jedynym mężczyzną, który miał „pożerać ją wzrokiem”.

Ale właściwie po co to zrobiła? Żeby mu pokazać, co stracił? Czy to miał być jej cel: sprawić, by tak mocno jej pożądał, aby mogła go odepchnąć, tak jak on ją kiedyś? Czy może też jej postępowanie było odpowiedzią na głęboką potrzebę bycia kochanym...

Jej uczucia tak były sprzeczne, że nie mogła dojść z nimi do ładu. Wyprostowała się więc, uniósłszy głowę lekko do góry. Przeszła przez drzwi łączące ich apartamenty.

Gdy weszła, Grant zagwizdał, podziw pojawił się w jego oczach.

Mężczyzna miał na sobie garnitur, który uwydatniał jego ciemną karnację i smukłą sylwetkę. Phillida uśmiechnęła się oszołomiona. Zaparło jej dech.

— Wyglądasz zachwycająco — wyszeptał miękko.

— Ty także! Zmarszczył brwi.

— Nie używam takich słów w stosunku do siebie, ale cieszę się, że tak myślisz.

Wybuchnęła śmiechem.

— Czy inni też tak będą ubrani?

— Tak sędzę. Klasa hotelu, w którym mieszka Al, wymaga tego.

— Jest lepszy niż ten, w którym my mieszkamy?

— Jego hotel jest nie tylko luksusowy, lecz także szczególnie dba o renomę. Spodoba ci się. Taksówka już powinna czekać. Idziemy?

Ogarnęła ją radość i podniecenie. Przybrała teatralną minę:

— Prowadź, Macduffie. Nie mogę się doczekać!

Al próbował zagarnąć ją tylko dla siebie, ale Grant do tego nie dopuścił. Pozostawał przy jej boku przez cały wieczór. Phillida była mu niewymownie wdzięczna za opiekę.

Czuła się doskonale, w dobry humor wprawiały ją prawione jej komplementy. Wieczór był naprawdę wspaniały, głównie dzięki stałej obecności Granta. Al zaś wydawał się odpychający. Nic jednak nie było w stanie przyćmić wspaniałości tego miejsca i bajecznego wprost jedzenia.

Po posiłku Al spróbował ją przytulić i zatańczyć w takt rozlegającej się muzyki, ale Phillida nie mogła tego ścierpieć.

— Przepraszam — odpowiedziała. — Nie tańczę. Grant spojrział na Phillidę ze zdziwieniem. Za chwilę radosny uśmiech rozjaśnił jego przystojną twarz.

— Jaka szkoda! — wymruczał Al. — Tak bardzo chciałem z tobą zatańczyć.

Z lekka się zaczerwieniła, przyłapana na kłamstwie.

— Nie miałam okazji się nauczyć — wyjaśniła poważnie.

— A zatem, kochanie — powiedział ociężale Al — ta część zabawy skończona. Chodźmy lepiej do baru.

Phillida pochyliła głowę. Bary, luksusowe czy też nie, nie pociągały jej. Ku jej radości Grant natychmiast zareagował.

— Chyba już pójdziemy. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, Al? Phillida jest już zmęczona. A poza tym ma jutro sporo roboty z przepisywaniem.

— Źle. Ale nie możemy naszej miłej pani pozbawiać upiększającego snu, nie? Do jutra więc. Druga trzydzieści, u was.

— Dziękuję bardzo za kolację — powiedziała grzecznie. — To był naprawdę uroczy wieczór.

— Starają się tu, czyż nie? Dlatego zawsze tu przesiaduję. No, nie zwlekaj, idź zażyj trochę snu.

Powieki Phillidy były ciężkie od wina. Kiedy wsiadła do taksówki, z ulgą złożyła głowę na oparciu. Zamknęła oczy pozwalając, by ulice Paryża umykały nie oglądane. Musiała się zdrzemnąć, gdyż następną rzeczą, którą dostrzegła był Grant pochylający się, by otworzyć drzwi.

Na wpeł śpiąca drgnęła gwałtownie. Jego fizyczna bliskość podziałała na nią jak wstrząs elektryczny. Pragnienie wzięło górę, jej ręce podniosły się nieświadomie do jego twarzy, palce dotknęły gładkiej, niedawno ogolonej skóry.

— Grant! — wyszeptała.

Grant zastygł. Po chwili pocałował jej dłoń pieśczącą jego twarz.

Wysiadł, pomagając jej wydostać się z taksówki, zapłacił. Phillida wciąż była w transie, gdy wprowadził ją do hotelu. Przyglądał się jej sennej twarzy. Sam był zamyślony.

— Chodź ze mną — miękko skierował ją ku sali dancinowej i poprowadził na parkiet. W pomieszczeniu było gorąco, panowała dziwna atmosfera.

— Nauczę cię tańczyć — zaszeptał. Jego oczy kusily ją. Wziął ją delikatnie w ramiona i pociągnął na środek wirującej sali.

Phillida podążyła za nim nie protestując. Przeniosła się myślami w dawne dni, kiedy tak często tańczyli razem.

Wolny, zmysłowy rytm wywierał na nią nieodparty czar. Grant wykorzystał w pełni nastrój i gdy melodia dobiegła końca, przycisnął ją mocno do siebie. Nie próbowała nawet się ruszyć.

W uścisku czekali na następny taniec. Po sambie przyszło tango, po walcu fokstrot. Ale tempo było bez znaczenia. Wirowali razem po posadzce, poruszając się do rytmu we własnym, intymnym tańcu miłości.

Godzina minęła niepostrzeżenie. Grant znizywszy głos wyszeptał jej do ucha:

— Chodźmy na górę.

Wciąż oszołomiona Phillida poszła do jego pokoju.

Gdy zdejmował z niej szal, jej ciało przebiegł delikatny dreszcz. W chwilę później już cała drżała w oczekiwaniu. Grant czułymi palcami masował skórę jej szyi i ramion.

Oczy zapłonęły mu pożądaniem. Phillida czekała na spełnienie obietnicy, którą zawarł w każdym swoim słowie, spojrzeniu i ruchu. Przez ostatnią godzinę uwodził ją. Zdawała sobie z tego sprawę, ale brakowało jej woli, aby się przeciwstawić.

Oddech stał się szybszy. Grant powoli masował ją coraz delikatniej. Zanurzył dłonie w jej gęstych włosach. Głęboko oddychał. Pochylił się, by złożyć pocałunek na jej wargach. Była to już delikatna, wymagająca odpowiedzi pieśczoła,

— Wiesz, że pragnę ciebie, Phillido — wyszeptał przerywanym głosem. — Ale jeśli zrobimy to teraz, oboje będziemy rano żałować. Ty, ponieważ w gruncie rzeczy nie chcesz mnie, a ja dlatego, że wykorzystalbym twoje zmęczenie i to, że trochę za dużo wypłaś. Więc idź! Dziękuję za ostatnią godzinę, moje kochanie.

Przepchnął ją delikatnie przez wspólne drzwi i zamknął je. Phillida potknęła się i upadła na łóżko. Łzy spłynęły jej po policzkach. Ona go nie chce! Jak mało wiedział. Ciało dziewczyny w dalszym ciągu drżało.

* * *

Następnego dnia Phillida zachowywała się z rezerwą. Dobrze kontrolowała swoje emocje. Grant również zdawał się niewiele sobie przypominać z wydarzeń poprzedniego wieczoru.

Zabrano dokumenty z hotelowego sejfu. Gdy nie korzystano z nich, znajdowały się pod kluczem, niedostępne wścibskim oczom.

Phillidę zaskoczyła waga tajemnicy dyskutowanej podczas konferencji. Każdy z jej uczestników zobowiązany był strzec jej, jak swego życia. Ona również. Przeszedł ją lekki dreszcz. Napawał to drobnym lękiem, ale nie było już odwrotu.

Prawie przez cały dzień, zastanawiała się, co zrobić z Jean-Pierre'm. Nie bardzo miała ochotę na spotkanie, ale w pewnym sensie był on obroną przed Grantem. Jeśli nie zobaczy się z Jean-Pierre'm, Grant będzie chciał, by z nim spędziła wieczór, a ona bała się tego.

W czasie obiadu wyjęła z torebki karteczkę z numerem telefonu Jean-Pierre'a, położyła ją przy aparacie. Powinna zadzwonić, czy też nie? Kładąc rękę na słuchawce, zdecydowała się jeszcze chwilę poczekać. Wciąż był czas na podjęcie decyzji.

Popołudniowa konferencja skończyła się wcześniej. Właśnie porządkowała notatki dla Granta, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Grant szybko odebrał.

— Chwileczkę — powiedział. — Phillido, to do ciebie.

— Do mnie? Kto? — zdziwiła się.

— Telefon z Anglii.

— Anglia!

Rzuciła się do słuchawki.

— Tak? Kto mówi? — Powiedziała z niepokojem. Kilka trzasków, bełkot recepcjonistki w łamanej angielszczyźnie, dopiero po chwili czysto brzmiący głos jej ojca.

— Phillido, kochanie? Tu ojciec.

— Co się stało?

— Spokojnie, moja droga, nic poważnego, ale myśleliśmy, że trzeba ci powiedzieć. Andy.

Phillidzie zrobiło się słabo. Usiadła ciężko na fotelu, była mokra od potu.

— Co się stało?! — Zapytała ze strachem. — czy to coś poważnego?

— Miał wypadek podczas konnej jazdy. Spadł z konia i złamał nogę. Lekarz podejrzewa lekki wstrząs mózgu. Andy jest teraz w Szpitalu Okręgowym.

— O, ojcze! — Lamentowała. — Dlaczego to się musiało stać akurat teraz?

— Nie martw się. Twoja matka jest z nim.

— Biedna mama! Wracam do domu. Oczekuj mnie dziś wieczorem.

— Właściwie to nie ma potrzeby, żebyś wracała... — zaprotestował.

— Nic nie mów, tato. Wracam. Do zobaczenia. Podniosła głowę i spotkała zaniepokojone, pytające spojrzenie Granta.

— Kłopoty w domu?

— Tak. Muszę wracać do Anglii — głos drżał jej z niepokoju. — Wybacz, Grant. Czy dasz sobie sam radę?

— Oczywiście. Większość pracy mamy już zresztą za sobą. Gdyby nie jutrzejsze spotkanie, to pojechałbym z tobą. Co się stało?

Za nic w świecie nie może mu powiedzieć.

— Wypadek.

— Twoja matka! Co się z nią dzieje?

— Jest w szpitalu — kłamała. — Grant, możesz zarezerwować mi bilet na samolot? Muszę się spakować.

— Dobrze, już biorę się za to.

W przeciągu godziny była na lotnisku. Grant uparł się, żeby ją odwiedzić. Podczas drogi nie zamienili ze sobą ani słowa. Dopiero w chwili rozstania przerwał jej posępną zadumę.

— Szkoda, że nie mogę lecieć z tobą.

— Dam sobie radę. Dziękuję za dobre serce.

— Proszę, Phillido. Weź to — wcisnął jej banknot pięćdziesięciofuntowy w dłoń. — Weź taksówkę z Heathrow do domu. Najszybciej i najprościej, nie stracisz czasu, czekając na autobusy. Potraktuj to jako wydatek związany z podróżą służbową.

— Grant, jesteś pewny? Oddam ci resztę... Roześmiał się, choć nie zabrzmiało to wesoło.

— Tym się nie przejmuj. Musisz już iść. Zapowiadają twój lot. Wszystkiego dobrego, kochanie.

Ujął ostrożnie jej twarz i złożył delikatny, pełen czułości pocałunek na trwożliwie drżących ustach. Potem odwrócił się i skierował w stronę miejsca, gdzie dokonywano odprawy.

Dopiero nad kanałem La Manche przypomniała sobie o randce z Jean-Pierre'm. Było jej przykro, że nie zawiadomiła go. Miała co prawda wątpliwości, czy to po raz pierwszy ktoś go zawiódł, ale i tak miała wyrzuty sumienia. Był już późny wieczór, gdy Phillida wysiadła z taksówki przed domem. Przesiadła się od razu do swego samochodu, zabrała tylko bagaż i pojechała prosto do szpitala.

Jej ojciec i matka czekali w małym pokoiku, przy końcu oddziału dziecięcego. Pielęgniarka wprowadziła ją do niego.

— Mamo! — wykrzyknęła Phillida. — Dzięki Bogu, jesteś tu.

— Phillido, dziecko. Nie mogliśmy go zostawić. Ale jak szybko tu dotarłaś!

Phillida zwróciła się do pielęgniarki:

— Czy mogę go zobaczyć?

— Zaraz jak tylko lekarz skończy badanie. Proszę się nie martwić, prześwietlenie nie wykazało żadnych poważnych uszkodzeń.

— Dzięki Bogu! — Phillida westchnęła z ulgą.

— Muszę państwa teraz opuścić, ale poinformuję was, kiedy będzie można go zobaczyć.

— Dziękuję.

Phillida wkrótce dowiedziała się, jak doszło do wypadku. Kucyk potknął się, przeskakując przeszkodę. Chłopiec wyleciał z siodła, lecz stopa zaplątała się w strzemię. Hugh winił siebie za ten nieszczęśliwy wypadek. Z kolei dziadkowie byli przekonani, że bezpodstawnie obciąża siebie winą.

— Wypadki zdarzają się podczas konnej jazdy — powiedział smutno ojciec. — W tym sporcie ryzykuje się swoimi kośćmi, jak również wstrząsem mózgu. To nic wielkiego, Phillido. Nie wystrasz Andiego.

— Ależ ojcze, on się mógł przecież zabić!

— Zamierzasz więc zabronić mu jeździć konno? Zapomniałaś już o swoim złamanym obojczyku, jak byłaś mała? My pozwoliliśmy ci dalej jeździć, nie rozpieszczaj go, kochanie.

Phillida wykrzywiła usta.

— Nie mam zamiaru go rozpieszczać, ale nie jest mi łatwo godzić się na niebezpieczeństwo. On tyle dla mnie znaczy...

— Ty również znaczyłaś wiele dla twojej matki i dla mnie. Musisz się nauczyć, on kiedyś się usamodzielni. Szkoda, że... o...

— Czego szkoda, tato?

— Niczego. — Wzruszył ramionami, widząc jej stanowczą minę. — Szkoda, że masz tylko jego. Nie twierdzę, że byłby wtedy mniej ważny dla ciebie, ale miałabyś jakieś pocieszenie, gdyby coś się stało.

— Powinnaś wyjść za mąż, Phillido — głos matki zabrzmiał bardzo stanowczo. — Miałabyś wtedy normalną rodzinę. Wciąż ci powtarzam, że...

— Tak, mam. Do znudzenia.

— Nie kłóćmy się teraz — starał się łagodzić ojciec. — Wszyscy jesteśmy podenerwowani tym co się stało. Phillido, czy miałaś dobrą podróż?

— Tak — zapewniła go.

Teraz, gdy minął już niepokój ostatnich godzin, była nawet w stanie uśmiechnąć się do ojca.

— Paryż to cudowne miasto, sądząc po tym, co zdołałam zobaczyć. Bardzo mi się podobało.

Nie dane jej było dokończyć. Pojawił się lekarz i pielęgniarka, obydwójce uśmiechnięci.

— Z Andym wszystko w porządku — poinformował lekarz. — Odzyskał przytomność, choć wciąż jest jeszcze trochę oszołomiony. Z wyjątkiem nogi w gipsie, jest zdrow jak ryba — uśmiechnął się do Phillidy. — Pani jest matką?

— Tak — przytaknęła. — Na nieszczęście byłam za granicą, gdy to się stało. Przyjechałam tak szybko, jak tylko mogłam.

— Dobrze. Gdyby chciała pani zostać tutaj na noc, pielęgniarka przygotowuje pani pokój. Jutro będzie już można zabrać chłopca do domu.

— Dziękuję, panie doktorze — starała się wyrazić jakoś swoją wdzięczność.

Może pani iść do synka.

Lekarz wyszedł, a siostra wprowadziła ich na oddział. Andy był oszołomiony, ale natychmiast rozpoznał matkę, dziadka i babcię.

— O rany, mamusiu. Obudziłem się w Szpitalu.

— Tak, kochanie. Dobrze się czujesz?

— W porządku, dzięki. Spójrz! — Wyciągnął nogę z łóżka, pokazując gips, który więził go od uda do kostki. — Lekarz podpisał się. Masz długopis? Podpisz się też. Chcę mieć jak najwięcej autografów.

— Podpiszemy wszyscy razem, ale dopiero w domu — Phillida roześmiała się z ulgą. Pan doktor powiedział, że już jutro będę mogła cię zabrać, jeśli będziesz się dobrze sprawował.

— Musimy iść — powiedział ojciec Phillidy, przesyłając żonie zadowolony uśmiech. — Jesteś gotowa? Andy, będziemy czekali na ciebie w domu.

— Czekamy. Dobranoc, wnuku. — Babcia ucałowała jego czoło. — Śpij dobrze.

Dziadek z czułością pogłaskał małego po głowie i wyszli. Phillida ułożyła synka z powrotem w łóżku i ucałowała serdecznie. Siedziała obok niego, aż usnął. Dopiero wtedy rozejrzała się za miejscem do spania. Wyczerpana, momentalnie zapadła w głęboki sen.

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, Phillida i Andy przyjechali do domu. Jej matka biegała zaaferowana wokół wnuczka i

córki. Chociaż nie było mowy o jeździe konnej, Hugh zjawił się o normalnej porze. Jak zwykle został na herbacie.

Ojciec Phillidy wrócił około szóstej, wszyscy zasiedli w pokoju gościnnym. Andy usadowił się między Phillidą i Hugh'em na kanapie, pochłonięty oglądaniem telewizji. Phillida była myślami w Paryżu, wyobrażając sobie, że jest wciąż z Grantem. Na pewno zaprosiłby ją gdzieś. Żałowała, że los okazał się taki dla niej nieprzychylny i zmusił do rozstania z Grantem.

Pogrążona w myślach, nie usłyszała dzwonka do drzwi,

— Ktoś do ciebie, Phillido.

Matka była wyraźnie podniecona.

— To Grant Davis, wrócił ze Stanów. Mówił, że byliście razem w Paryżu. — Głos matki był zdziwiony i niezdecydowany.

— Grant! Co on tutaj robi? Już idę...

Zerwała się na równe nogi, ale było już za późno. Grant stał tuż za jej matką, która odsunęła się na bok, aby go wpuścić.

Jednym szybkim spojrzeniem objął pokój. Był zaskoczony.

— Phillido — powiedział. — Przyjechałem od razu po zakończonym zebraniu. Wpadłem upewnić się, czy wszystko w porządku. Wydawało mi się, że coś się stało twojej matce.

— Nie — sztywno powiedziała Phillida. — Z mamą wszystko w porządku. — Jej twarz była purpurowa, a oczy miała spuszczone. Siadła niezgrabnie na brzegu kanapy. — To nie była mama. Chodziło o Andiego.

Hugh podniósł się i wyłączył telewizor. Andy przyglądał się uważnie temu wysokiemu, ciemnemu mężczyźnie, a Grant patrzył na Andiego, jakby zobaczył ducha.

— Spadłem z mojego kucyka — wyjaśnił dziecięcym głosem. — Mamusi nie było, gdy to się stało, obudziłem się w Szpitalu.

— Ja byłem z nim — wtrącił się Hugh. Jego zwykle czerwona twarz stała się blada. — Rozumiem, że Phillida wałęsała się z panem po Paryżu.

Phillida przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Ton głosu Hugh'a zdradził, że zauważył już niezwykle podobieństwo pomiędzy chłopcem a gościem. Grant patrzył wrogo na człowieka, który w domu Phillidy czuł się jak u siebie.

— Grant, to jest Hugh Grainger, przyjaciel — zareagowała szybko. — Uczy Andiego jazdy konnej. Hugh, to Grant Davis.

Wzięła głęboki oddech.

— Hugh, to był służbowy wyjazd. Nie wyjechałabym gdybym nie musiała...

— Nie ma się pan czego obawiać z mojej strony — gorzko powiedział Grant. — Musiałem użyć szantażu, żeby ze mną pojechała.

Phillida w końcu odzyskała spokój.

— Jak widzisz — powiedziała do niego oficjalnym głosem, wstając — z Andym wszystko w porządku. Ma tylko nogę w gipsie. Dziękuję za twoją troskę.

Grant nie zdążył odpowiedzieć, gdy Andy wyciągnął nogę przed siebie.

— Każdy mi się podpisuje — wyjaśnił skwapliwie. — Pan także musi się podpisać.

Grant obdarzył chłopca niezmiernie czułym spojrzeniem. Phillidzie nogi odmówiły posłuszeństwa, gdy zauważyła jego wzrok. Szybko usiadła na najbliższym krześle.

Grant pokochałby Andiego! Wiedziała o tym. Mówiło to jej serce, ale rozum zaprzeczał. Nie może przecież zrezygnować z tak ciężko wywalczonej niezależności.

Andy należał do niej. Grant nie miał do niego żadnego prawa. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Mężczyzna uśmiechając się, wyjął pióro. Nachylił się nad dzieckiem i złożył swój podpis obok podpisów pracowników szpitala, rodziny i Hugh'a.

Andy przyglądał się podpisowi z wielkim zainteresowaniem.

— Gr-a-nt Dav-is — przeliterował. — Nie znam ciebie.

— Nie — odpowiedział Grant z uśmiechem. — Ale mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Andy spojrzał na niego rozradowany.

— Super! Masz może model wieży Eiffla? Mamusia zapomniała mi przywieźć.

— Obawiam się, że nie — odpowiedział Grant z żalem. — Ale nie wiń swojej mamy. Była bardzo zajęta potem, gdy dowiedziała się o twoim wypadku, spieszyła się, żeby cię zobaczyć.

— Wiem, ale ja chciałem taką wieżę — skarżył się lekko poirytowany Andy.

— Jesteś zmęczony — Phillida powiedziała stanowczo. — czas do łóżka, mój mały.

— Gdy pojedziemy znowu, obiecuję ci przywieźć taką wieżę. W porządku?

„Jeśli pojedą jeszcze raz?” O czym ten człowiek mówił? Phillida wstała gwałtownie. Grant zrozumiał, co chciała mu przez to zasygnalizować.

— Muszę już iść.

— Kiedy przyjdiesz nas odwiedzić? — zapytał Andy.

— To zależy — Grant poklepał malutką dłoń przyciśniętą do jego ramienia. Wstał. — Cieszę się, że masz się lepiej. Wkrótce cię odwiedzę.

— Odprowadzę cię do drzwi.

Andy był zachwycony nową znajomością. Zdawała sobie z tego sprawę, polubił Granta w ułamku sekundy.

— Phillido — powiedział Grant błagalnie — musimy porozmawiać.

— Nie mamy o czym — unikała jego wzroku.

— Do licha! Wiesz, że jest o czym. Spotkamy się w poniedziałek na obiedzie. Godzina i miejsce to samo, co ostatnio!

— Czy to rozkaz, proszę pana? — Zapytała desperacko, usiłując ukryć swój strach i podniecenie.

— Nie, ale jeżeli nie przyjdiesz, ja zjawię się tutaj. Obiecuję.

Rozdział VI

Oczywiście matka chciała koniecznie wiedzieć, dlaczego jej nie powiedziano, że Grant wrócił. Szczególnie intrygowało ją, dlaczego nie wiedziała, z kim córka jedzie do Paryża.

Phillida przeprosiła za ten brak szczerości, wyjaśniając, że nie chciała rozdmuchiwać tej sprawy. Rodzice stwierdzili, że Grant stał się dystyngowanym mężczyzną, przypadł im do gustu, Phillida nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Powiedziała rodzicom, że sama sobie da ze wszystkim radę, nie chce ich angażować w swoje sprawy.

Ojciec uśmiechnął się ze zrozumieniem, matka była bliska łez. Dziewczyna nie mogła się do niczego zabrać. Tylko dzięki Andiemu trzymała się jako tako. Martwiła się tym, co ma nadejść. Co powie Grant, co on zrobi? Oczekiwanie było dla niej okropnie męczące.

W poniedziałek rano przyjechała do pracy trochę wcześniej. Andy był zwolniony ze szkoły jeszcze przez najbliższy tydzień, więc jej matka miała ręce pełne roboty. Myślała o niej z wielką wdzięcznością.

Gdy nadeszła pora obiadowa, Phillida wciąż siedziała przy biurku. Dopiero po godzinie pierwszej wyskoczyła na chwileczkę, by kupić sobie kanapkę.

Nie miała dość odwagi, by zobaczyć się z Grantem. Pamiętała dobrze ich ostatnie spotkanie i to, jak o mało mu nie uległa. Jeśli ma się z nim spotkać, to na pewno nie w Falcon Road, którego atmosfera tak bardzo na nią działała. Ponadto nie było potrzeby się spieszyć.

Prędzej czy później będzie musiała porozmawiać z nim o Andym, Grant już się o to postara. Ale jeszcze nie teraz.

Gdy Phillida wróciła do biura, została powitana wiadomością przekazaną jej przez Jannine.

— Właśnie przegapiłaś coś ciekawego.

— Cóż takiego?

— Angela Mildmay! Nie ma chyba drugiej tak zarozumiałej kobiety, jak ona.

— Naprawdę? Co się stało?

Jannine oglądała swoje paznokcie. Po chwili podniosła oczy.

Spojrzała na Phillidę.

—Więc? — Phillida zniecierpliwiła się. — Co ona powiedziała?

— Ona nie zalicza się do twoich przyjaciół. Próbowала narozpuszczać plotek o twoim wyjeździe do Paryża. Wydaje mi się, że jest zazdrosna.

— Zazdrosna? O mnie?

— Ona interesuje się Grantem Davisem.

Phillida przygryzła wargi. Wiedziała już o tym wcześniej, dlaczego wobec tego się przejmuję?

— Nie interesuje mnie to — stwierdziła oschle.

— Nie mówisz zbyt przekonująco — powiedziała Jannine, podnosząc brwi. — Wiem, że to nie mój interes, ale czy przypadkiem Andy nie jest synem Granta?

Stało się. Phillida zagłębiła się w fotelu.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Każdy to dostrzeże, kto widział ich obu, a tym bardziej, jeśli jeszcze do tego wszystkiego wie, że ty go znałaś. Wybacz mi Phillido, ale nie trudno się w tym połapać.

— Wiem, że są bardzo do siebie podobni. — Westchnienie wydarło się z piersi Phillidy. — To kiedyś w końcu musiało wyjść na jaw. Proszę cię, zatrzymaj to dla siebie.

— Oczywiście. Możesz mi zaufać. A pan Davis wie o tym?

— Właśnie to niedawno odkrył. Chwilowo mam ogromny zamęt w głowie, dlatego nie wiem co mam robić. Ale pamiętaj, ani pary z ust.

— Obiecuję. Mam nadzieję, że to się ułoży i że pobierzecie się.

— Moja matka mówi dokładnie to samo — głos Phillidy zabrzmiał bardzo sucho. — Pomijając fakt, że on nie poprosił mnie o rękę, wcale nie mam ochoty za niego wyjść. Ani w ogóle za nikogo.

Szelmowski uśmieszek zakradł się na twarz Jannine.

— Założę się, że Grant da radę zmienić twoje postanowienie, stawiam pięć do jednego.

Phillida z reguły nie zakładała się, ale chciała poprawić sobie humor, zatem zgodziła się. Poza tym, to była murowana wygrana.

— Przyjmuję zakład. W dniu mojego ślubu z Grantem dam ci piątkę.

— Jeśli nie dojdzie do ślubu za rok, to ja przegrałam. Stoi?

— Stoi!

Uroczyście podały sobie ręce i rozeszły się do swoich pokoi chichocząc. Przez moment Phillida poczuła się, jakby miała osiemnaście lat. Zazdrościła swojej współpracownicy młodego wieku.

Gdyby to tylko było możliwe, żeby ona i Grant rozpoczęli jeszcze raz wszystko na nowo!

Praca pochłoneła ją przez resztę dnia. Wracła do domu w bardzo dobrym humorze. Zaparkowała samochód i poszła w kierunku, z którego rozlegał się głos Andiego.

Okrążywszy dom, zamarła w śmiertelnym przerażeniu. Andy nie bawił się z Hughem, Grant przykucnąwszy z wielką uwagą nakładał łańcuch na zębatkę roweru. Andy opierał się o jego ramię i podnieconym głosem wydawał polecenia.

Grant wyczuł jej obecność i podniósł wzrok. Ich oczy spotkały się.

— Twoja mamusia przyjechała — powiedział Andiemu powstając.

Mamaaa!!! — Andy wykrzyknął podskakując na jednej nodze w jej kierunku. Rzucił się jej na szyję i uściskał.

— Wujek Grant przyszedł. Naprawia mój rower. Jak mi zdejmą gips, to będę mógł jeździć.

— Gdzie jest Hugh? — To było wszystko, co mogła powiedzieć.

— Zjawił się wujek Grant i Hugh poszedł do domu.

— Już prawie czas na herbatę. Powiedz do widzenia wujkowi Grantowi i chodź się umyć — słowa ugrzęzły jej w gardle.

— Wujek Grant zostaje na herbatę, babcia go zaprosiła. Idę umyć ręce, zaraz będę z powrotem. — Andy przesłał Grantowi promienny uśmiech, kuśtykając w kierunku domu.

— Nie przyszłaś — Grant delikatnie zwrócił jej uwagę.

— Dlatego ty przyszedłeś tu — gorzko odpowiedziała. — Nie powinienes być teraz w pracy?

— Zabrzmi to może dla ciebie dziwnie, ale jest dla mnie coś ważniejszego niż praca. Wyobraź sobie, Phillido, wstrząs: odkryć, że ma się syna!

— On nie jest... — zaczęła, ale przerwał jej niecierpliwie.

— Nawet nie próbuj zaprzeczać! Głupi dostrzeże podobieństwo.

Dobrze wiem, że z nikim innym się wtedy nie zadawałaś. I jeszcze jedno: twoja matka potwierdziła.

— Wspaniale! — wykrzyknęła. — Ufaj tu człowieku matce. Ale on jest mój! To ja go urodziłam i wychowałam.

— Phillido, dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Dlaczego bym miała to zrobić? — Zdecydowała się być szczerą. Częściowo dlatego, aby się usprawiedliwić. Zaciśnęła pięści tak, że palce aż jej zbieleły. — To była moja wina. Ja za tobą szalałam, nigdy mnie naprawdę nie chciałeś. Ani dziecka...

— Nie chciałeś?! Phillido, nie bądź głupia! Byłaś zbyt młoda, żeby się związać z kimś na stałe.

— Tak się tobie wydaje — powiedziała stanowczo. — Nie liczyło się to, czego ja pragnęłam.

Pokiwał głową przyznając jej rację, lecz w dalszym ciągu nacierał na nią.

— Gdy dowiedziałaś się, że jesteś w ciąży, dlaczego mi nie powiedziałaś? Wróciłbym, żeby cię poślubić. Po dwóch latach studiów albo wróciłbym tutaj, albo ty wyjechałabyś do Stanów. Powinnaś była mi powiedzieć.

— Nie chciałam cię do niczego zmuszać posługując się faktem, że miało przyjść na świat dziecko.

— Phillido... — wyciągnął do niej rękę, chcąc ją przytulić.

— Nie dotykaj mnie!

Odsunął się.

— Teraz już rozumiem, dlaczego się tak dziwnie zachowywałaś, gdy wróciłem. Nie możesz jednak zaprzeczyć, że wciąż coś się między nami tli, coś nas łączy. Potrzebujemy się wzajemnie. Pobierzmy się teraz.

— W gruncie rzeczy ty pragniesz tylko Andiego.

— Czy naprawdę tak myślisz po ostatnim tygodniu spędzonym w Paryżu?

— Jestem zadowolona z tego, że żyję samotnie — powiedziała sztywno.

— Co to za jeden, ten Hugh Gringer? Czy to jego masz zamiar poślubić?

— Tak. Jest dobry dla Andiego.

— Jego własny ojciec byłby lepszy.

— Nie mam zamiaru wychodzić za nikogo! — Wykrzyknęła rozwścieczona. — Nie zauważyłeś tego? Mam dosyć przeżywania zawodów. Poradzę sobie sama.

— Herbata!

Matka Phillidy zawołała we właściwym momencie. Tak przynajmniej uważała Phillida. Już i tak powiedziała więcej niż zamierzała.

Grant z uwagą przyglądał się jej twarzy. Po chwili wzruszył ramionami i poszedł w stronę domu.

— Nie uważam sprawy za zamkniętą, Phillido. Chociażby z tej przyczyny, że muszę widywać się z moim synem.

— O tak! — Z ironią powiedziała Phillida. — Powiedz mi, „wujku”, jak to się stało, że mój syn tak się z tobą zaprzyjaźnił? Chciałabym wiedzieć.

— Twoja matka zaproponowała, żeby mnie tak nazywał. Brzmi to mniej oficjalnie. Andy nie mówi zresztą do Hugh'a wujku.

Weszli do domu w milczeniu pełnym wzajemnej wrogości. Picie herbaty było znośne tylko dzięki obecności ojca i wesołej paplaninie Andiego.

Phillida dziobała widelcem podwieczorek, nie chciało jej się jeść. Miała za złe swoim rodzicom, że tak gościnnie przyjęli Granta, przez cały czas starali się być bardzo mili. Jej własny syn co chwila powtarzał: „Wujku Grant to...”, „Wujku Grant tamto...”

Gdy przyszła pora, by położyć Andiego spać, Phillidy nie zdziwiło już, że Andy domagał się obecności swojego przyjaciela przy wieczornej toalecie. Nie mógł się kąpać z powodu gipsu. Zmęczony zaczął się skarżyć na ból w nodze.

Zniecierpliwiona i zła Phillida w ostrych słowach kazała mu się pospieszyć. Wydawało się jej, że gdy Andy położy się do łóżka, ból ustąpi.

Nagle Andy rozplakał się i tylko Grant mógł ukoić jego łzy. Phillida również o mały włos nie wybuchnęła płaczem. Zaciśnęła mocno zęby.

— Twoja mamusia ma rację, mój stary. Pospiesz się, ułożę cię do snu. — Spojrzał na Phillidę. — Może powinien się napić gorącego mleka? Co ty na to?

— Zaraz przyniosę — powiedziała z rezygnacją.

Andy zasypiał, gdy Grant i Phillida dołączyli do rodziców. Pomimo protestów ze strony matki, Grant w chwilę potem pożegnał się. Phillida siedziała nieruchomo na krześle, więc jej ojcu przypadł obowiązek odprowadzenia gościa.

— Nie powinnaś tak się zachowywać — z wyrzutem stwierdziła matka.

— Dlaczego? Ja go tu nie zapraszałam.

— Moja droga — delikatnie zaczęła rozmowę — po cóż być tak zgorzkniałą? Długo dziś rozmawialiśmy z Grantem. Jestem głęboko przekonana, że on wciąż cię kocha. Powiedz tylko jedno słowo i Andy będzie miał prawdziwego ojca.

— Andy to chyba jedyna osoba, która się dla was liczy — odpowiedziała z wściekłością. — A co ze mną? Czy ja się nie liczę?

— To byłoby najlepsze rozwiązanie także dla ciebie. Mąż, normalna rodzina — tego potrzebujesz.

— Nie, nie potrzebuję. — Mówiąc te słowa zdawała sobie sprawę, że kłamie. Ale nie może się teraz poddać. Okręciła pasemko włosów wokół palca i szarpnęła je silnie ze złością.

Ojciec wrócił do pokoju. Był lekko zaniepokojony, lecz uśmiechał się.

— Powiedział, że wpadnie jutro po pracy zobaczyć, jak Andy się czuje. — Spojrzał córce prosto w oczy. — Grajmy w otwarte karty, Phillido. Wiesz, że poprzemy cię, cokolwiek postanowisz.

— Czyżby? Nawet jeśli nie pozwolę Grantowi spotykać się z Andym?

— Cokolwiek postanowisz, ale w granicach zdrowego rozsądku — poprawił się cichym głosem.

— Chyba będę musiała mu na to pozwolić — westchnęła. — Jeden wieczór w tygodniu. Czy to brzmi rozsądnie?

— Nie jesteś zbyt hojna. — Ojciec przybrał surową minę. — Może sobota lub niedziela od czasu do czasu... ?

— Minie też zostają tylko weekendy.

— Jestem pewny, że jakoś się dogadacie. Grant nie wydaje się być człowiekiem nierozsądnym.

— Tato, patrzysz na to wszystko ze swojego punktu widzenia.

— Jeśli będziesz mądra, obejdzie się bez kłótni.

— Mamo, proszę cię, nie płacz. — Podeszła do matki, kładąc jej rękę na ramieniu. — Wiecie, jaka jestem wam wdzięczna. Zrobiłabym tak, jak wy chcecie, gdybym tylko mogła.

— Masz przed sobą szansę rozpocząć wszystko od nowa. Chyba każdy skorzystałby z takiej możliwości?

— Tato, ja nie jestem „każdy”. Ale nie martwcie się, jakoś się to wszystko ułoży — przekonywała samą siebie.

— Chcemy, żebyś była szczęśliwa. Na tym nam bardzo zależy.

— Dziękuję, tato. Nie rozmawiajmy już o tym.

Pozostała część wieczoru minęła w napiętej atmosferze. Jedynie telewizor przerywał milczenie. Phillida opuściła rodziców wcześniej niż zwykle, poszła na górę do Andiego.

Spał głęboko. Długo stała przy łóżeczku, patrząc na jego niewinną twarzyczkę.

Andy zdążył już polubić Granta. To było dla niej jasne. Czy miała prawo nadal pozbawiać go ojca? Sprawić, żeby nie zaznał ojcowskiej miłości i opieki? Po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości, czy dobrze postępuje.

Gdy widziała ich razem, chciało jej się jednocześnie płakać z żalu i śmiać z radości. Miała wrażenie, że jej życie, do tej pory tak uporządkowane, zaczyna wymykać się spod kontroli.

Hugh nie pojawił się następnego dnia. Phillidzie nie sprawiało to specjalnej różnicy. Grant przyjechał zaraz po jej powrocie z pracy, Andy natychmiast z wielką radością zagarnął go dla siebie.

Ponieważ chłopiec, z powodu nogi w gipsie, nie był w stanie chodzić, jego dobry humor i ruchliwość objawiały się w sposób szczególnie hałaśliwy i kłopotliwy. Phillida uśmiechnęła się cynicznie: niech się teraz Grant nim zajmie.

Zostawiła ich samych, poszła do swojego pokoju, aby się przebrać. Gdy ponownie pojawiła się na dole, wszędzie panowała cisza.

Znalazła ich w salonie. Grant rozkładał mały komputer. Andy był tak przejęty, że prawie odjęło mu mowę. Przynajmniej na chwilę.

— Spójrz, mamusiu — powiedział ściszym głosem. — Wujek Grant przyniósł komputer. Będę mógł grać w różne gry i w ogóle...

— Cudownie! — To było do przewidzenia. Nie miała odwagi zaprotestować. Andy był jak zaczarowany.

Gdy urządzenie zostało uruchomione, okrzyki Andiego nasiliły się. Na monitorze pojawiły się rysunki. Grant pokazywał chłopcu, jak grać w „Gwiezdne wojny”. O herbacie zapomniano.

Matka musiała przywrócić ich do porządku.

— Chodźcie, im szybciej zjecie, tym szybciej wróćcie do zabawy.

Zafascynowanie grami komputerowymi przesunęło znacznie porę, w której Andy chodził spać. Phillida właśnie miała zaproponować zawieszenie broni, gdy rozległ się dzwonek.

Otworzyła drzwi i o mało nie usiadła ze zdziwienia. W drzwiach stał Jean-Pierre Laval.

— Jean-Pierre! — wysapała. — Jakim cudem... ?

— Dobry wieczór, moja kochana. Mój widok cię dziwi?

— Bardzo! Co u licha robisz w Dainton?

— Szukam ciebie. Co innego mógłbym tu robić? Jestem w Anglii służbowo, więc wpadłem zapytać, czemu nie przyszedłaś na naszą randkę.

— Jean-Pierre, przepraszam cię za tamto. Musiałam nagle wracać do domu. Przypomniałam sobie o spotkaniu z tobą dopiero, gdy byłam w połowie drogi nad kanałem. Wejdz proszę. Zobacz sam, co było przyczyną tego, że nie mogłam przyjść.

„Jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b” — pomyślała, robiąc skrzywioną minę. Mało było prawdopodobne, że się kiedykolwiek jeszcze spotkają, nie miała więc nic przeciwko temu, by Jean-Pierre wiedział, że ma syna podobnego jak dwie krople wody do jej szefa.

— Mój syn miał wypadek — wyjaśniła gościowi. — Jak ci się udało mnie znaleźć?

— Spytałem recepcjonistki w hotelu, w którym mieszkałaś. Powiedziała mi, że wyjechałaś w wielkim pośpiechu, z powodu kłopotów rodzinnych. Przykro mi z powodu twojego syna. Czy to coś poważnego?

— Mogło się skończyć o wiele gorzej. Po prostu złamana noga.

Otworzyła drzwi salonu i wprowadziła gościa.

— Proszę wszystkich o uwagę! — rozpoczęła z fałszywym entuzjazmem. — Mamy gościa. Kogoś, kogo spotkałam w Paryżu! Jean-Pierre Laval. — Powiodła oczyma po pokoju. Grant piorunującym wzrokiem wyrażał jej swoją dezaprobatę.

— Jean-Pierre, to jest Grant Davis. Niewiele brakowało, a poznałbyś go w Paryżu. Pracowałam dla niego. To moja matka i ojciec. A to jest Andy, sprawca tamtego zamieszania.

Zaczęto wymieniać słowa powitania. Andy wyrecytował: „Miło mi pana poznać” w najbardziej elegancki sposób, na jaki się zdobył. Gapił się na nowo przybyłą osobę z uwagą. Jean-Pierre odpowiedział na jego pytający uśmiechem.

— Pewnie nie masz ze sobą modelu wieży Eiffla — zapytał Andy z powątpiewaniem, marszcząc jednocześnie brwi.

— Niestety, nie.

— Oj, mamusia obiecała mi przywieźć, ale zapomniała. — Andy odwrócił się do Granta. Jego zainteresowanie przybyszem skończyło się. — Wujku Grant, gramy dalej?

— Andy! Już dawno temu powinieneś być w łóżku — zaprotestowała. — Trzeba skończyć tę zabawę. Babcia pomoże ci się umyć, prawda babciu? — spojrzała pytająco w stronę matki.

— Oczywiście. — Matka natychmiast zerwała się z krzesła.

— Idziemy, młody człowieku. Na górę!

— Wujku Grant, proszę, ty też chodź ze mną. Grant wziął go na ręce i zaczął kołysać. Jego twarz rozpromienił uśmiech pełen miłości.

— Nie dzisiaj, synku — słowo to zabrzmiało zwyczajnie. Mógłby je powiedzieć każdy mężczyzna do małego chłopca. Niemniej jednak wywołało ono u Phillidy ból w okolicy serca.

— Muszę już uciekać. Pograj na komputerze. Jak cię znowu odwiedzę, to zobaczymy, kto będzie lepszy. Pamiętaj, jak trzeba grać?

— Pamiętam. Wygram następnym razem. Dobranoc. Dobranoc, wujku Grant.

Andy mocno objął go za szyję i pocałował w policzek. Grant postawił chłopca na podłodze, zmierzwił jego włosy palcami i skierował go w stronę babci. Phillida i jej ojciec również ucałowali Andiego na dobranoc. Jedyne Jean-Pierre zdobył się na uprzejmy uścisk dłoni.

— Dobranoc wszystkim — dodał Andy, już odchodząc.

Phillida zauważyła, że mały nie poprosił Jean-Pierre'a o podpis na gipsie. Być może po prostu mu się to znudziło.

Matka wzięła chłopca za rączkę i wyszli. Wkrótce Grant pożegnał się w sposób bardzo oficjalny. Phillida również była oszczędna w słowach. Ojciec, pod jakimś pretekstem, wyszedł do ogrodu.

— Nareszcie sami — Jean-Pierre uśmiechnął się.

— Tak.

— Przepraszam, że pytam: masz syna, ale nie jesteś zameżna?

— Tak. — Phillida odpowiedziała spokojnie. — Andy to rezultat błędów młodości. Ale nie potrafiłabym już bez niego żyć.

— A ojciec?

— Wyjechał, zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży. To opowieść mojego życia. A jak wygląda twoje życie? Dużo dziewcząt?

— Przyznaję, że wiele.

— Ale jeszcze żadna cię nie usidliła.

— Nie, ale mówiąc szczerze, musiałem się nieźle bronić. Dopiero moja angielska znajoma zaintrygowała mnie. Postanowiłem się dowiedzieć, dlaczego nie przyszła na spotkanie, jak również tego, gdzie mieszka i wielu, wielu innych rzeczy.

— Nie obiecałam, że przyjdę — zaśmiała się. — Nie mogłam się zdecydować, aż przyszła wiadomość, że muszę wracać. Wybacz, Jean-Pierre, ale nie spodziewałam się, że wytropisz mnie aż tutaj.

— Byłem w Londynie i miałem wolny wieczór, więc przyjechałem zaspokoić swoją ciekawość. Twój szef przepada za twoim synkiem.

— O, tak. Żyją w wielkiej przyjaźni.

— Dostrzegłem to. Są bardzo do siebie podobni.

— Tak — Phillida zgodziła się.

— Długo dla niego pracujesz?

— Właściwie to nie pracuję dla niego. Paryż to było specjalne zlecenie. Normalnie prowadzę biuro pośrednictwa pracy.

— Aaa! — zastanawiał się przez chwilę. — Tutaj?

— W Hadbury. Nazywa się Eager Beaver.

— Co za nazwa! I pan Davis również pracuje w Hadbury?

— Tak. Zajmuje się nieruchomościami przemysłowymi.

— Powiedziałaś, że ma do czynienia z komputerami. Andiemu też sprezentował jeden.

— To można było przewidzieć, chociaż jego firma nie specjalizuje się w grach komputerowych. SCS ma profil ściśle handlowy.

— Oczywiście! Mają jakieś sekrety. Czy odkryłaś, co oni tak pilnie otaczali tajemnicą?

— Tak. — Poruszyła się niespokojnie. Przypomniało jej się nieprzyjemne uczucie związane z obowiązkiem dotrzymania ścisłej tajemnicy.

— Ta informacja warta jest dużych pieniędzy. Nie odczuwasz czasem pokusy, by ją sprzedać?

Phillida spojrzała na niego pytająco. Czy to był ten sam Jean-Pierre, poznany w Paryżu? Po chwili rozluźniła się. Wydawało jej się, że coś kryje się za jego słowami, ale widząc psotny wyraz twarzy uśmiechniętego Francuza, roześmiała się.

— Nie należę do tych, którzy zdradzają tajemnice dla pieniędzy, czy z innych przyczyn. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

— Przypuszczalnie dlatego ciebie wybrali. Zdawali sobie sprawę z wagi tej tajemnicy. Świat biznesu jest pełen wszędobylskich szpiegów.

— Pierwszy raz o czymś takim słyszę. Masz na myśli szpiegów wykradających wynalazki?

— Niestety tak.

Phillida zdecydowała się zmienić temat.

— Co właściwie porabiasz w Londynie?

Wydawało jej się, że dostrzegła cień irytacji w oczach rozmówcy, po tak nieoczekiwanej zmianie tematu.

— Nudną, rutynową robotę tłumacza — znów się uśmiechnął.

Odpowiedź przyszła z łatwością. — Tłumaczę rozmowy o żywności, głównie mięsie i innych niezbyt interesujących towarach. Dobrze płacą.

— To jest ważne.

Matka ułożywszy Andiego do snu, weszła na chwilę by spytać, czy życzą sobie kawy.

Mężczyzna zerknął na zegarek.

— Obawiam się, że muszę już iść. Mam przed sobą długą drogę powrotną.

Phillida odprowadziła go do samochodu, zaparkowanego za pobliskimi krzakami.

— Czy mogę cię jeszcze odwiedzić, Phillido? Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu — powiedział na pożegnanie.

Spojrzała na niego poważnie.

— Miło było cię znów zobaczyć, ale niech to będzie nasze ostatnie spotkanie.

Nie wiedziała, dlaczego tak postępuje. Po prostu czuła, że Jean-Pierre nie pasuje do jej życia.

— Jestem niepocieszony — westchnął. — Kto wie, może jeszcze się spotkamy. Życie ma dla nas wiele niespodzianek w zapasie.

— Może — wstrząsnęły ją dreszcze. Było już chłodno. — Do widzenia, Jean-Pierre. Dziękuję za odwiedziny.

— Au revoir, ma chérie.

Rozdział VII

Kilka dni później, wieczorem, Grant niespodziewanie wszedł do salonu. Andy zapiszczał z radości. Po chwili we dwójkę pograżyli się w grach komputerowych. Byli tak zaabsorbowani, że na nic nie zwracali uwagi. Phillida zostawiła ich samych sobie, rozmyślając w duchu nad sposobem ograniczenia tak częstych wizyt Granta.

Tego wieczoru Grant zdecydował się ułożyć Andiego do snu. Już po raz drugi przyszło im robić to razem. Phillida była jeszcze bardziej skrepowana, niż poprzednio. Im bardziej poganiała Andiego, tym mocniej on lgnął do Granta. Było to dla niej nie do wytrzymania.

Gdy już byli na dole, Grant odwrócił się do niej".

— Nie miałabyś ochoty na krótki spacer? Chciałbym ci coś pokazać.

— Co takiego?

Jego tajemniczy uśmiech wywołał przyspieszone bicie serca.

— Tajemnica. Pójdiesz ze mną?

Jej zły nastrój powoli zniknął pod wpływem jego ujmującego zachowania, choć rozum ostrzegał ją przed tym.

— Co mam do stracenia? Taki piękny wieczór... Udali się w kierunku kościółka parafialnego, którego kamienna wieża górowała nad wioską. Przed samym kościołem Grant skręcił w wąską uliczkę. Kilka metrów dalej zatrzymał się przy otwartej bramie. Przez cały czas trzymał ręce głęboko w kieszeniach.

— Mulberry House — powiedział. — Znasz to miejsce?

— Bawiłam się tu często jako dziecko — powiedziała sięgając pamięcią wstecz. — Dopóki Bronsonowie się tu nie wprowadzili.

— Teraz ten dom jest nie zamieszkanym. Mam klucz do niego.

Wejdzimy?

Grant ruszył do drzwi i Phillida poszła bezwiednie za nim.

— Po co? — zapytała cicho.

Włożył klucz do zamka, otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do wnętrza.

— Muszę w końcu znaleźć swój stały dom. Ciągłe przenoszenie się z miejsca na miejsce do niczego nie prowadzi. — Odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz. — To, jakie miejsce wybiorę, zależy od ciebie. Przyjrzałem się już temu domowi, byłby idealny dla rodziny. Jeśli się zgodzisz, kupię

Stała jak skamieniała.

— Nie, Grant.

— Tak, Phillido. Chodź, obejrzyj ten dom. Do niczego się nie zobowiązujesz.

Oszołomiona, niezdolna wypowiedzieć słowa, zwiedzała z nim parter. Wielkie pokoje, wysokie sufity. Mimo, że nie było mebli, Phillida przypomniała sobie, jak wspaniale wyglądał ten dom, gdy tętniło w nim życie rodziny Bronsonów. Duży przedpokój, jadalnia, gabinet, kuchnia, garderoba.

— Wymaga to wszystko odnowienia — zauważył Grant. — Jest tu dużo miejsca na różny sprzęt. Trzeba by zainstalować centralne ogrzewanie.

Phillida milczała. Co miałyby powiedzieć? Że bardzo jej się podoba? To by znaczyło... Zacisnęła usta, milcząc.

— O tutaj — ciągnął niewzruszenie Grant — dobudowali pokój dla dzieci. Tak mi się wydaje.

— Grant — powiedziała z rozpaczą. — To na nic się nie zda. Nie mogę wyjść za ciebie.

Przyglądał się koniuszkom swoich butów.

— Nawet ze względu na Andiego? — Spytał matowym głosem.

— To się nie uda. Dziecko potrzebuje spokojnego, pełnego miłości domu...

— Jeśli o mnie chodzi, to właśnie chcę mu ofiarować taki dom. Ale oczywiście mogę mówić tylko za siebie.

Zapadło milczenie. Grant nagle potrząsnął głową i spojrzał na nią z uśmiechem.

— Nie byliśmy jeszcze na górze.

Phillida podążyła za nim niechętnie. Sypialnie to była ostatnia rzecz, którą chciała oglądać wspólnie z nim. Jednak coś w jego uśmiechu i całej postawie nie pozwoliło odmówić. Wydawało jej się, że Grant cierpi. Widocznie bardzo pokochał Andiego.

— Spójrz — powiedział otwierając drzwi — główna sypialnia. Obok dodatkowe pomieszczenie, które można będzie zamienić na łazienkę. Jeszcze zostałyby miejsce na trzy sypialnie.

Otwierali po kolei wszystkie drzwi, oglądając każdy z przestronnych, starych pokoi. Łazienka była duża, lecz jej wnętrze zdecydowanie wymagało już gruntownego remontu.

— Sprowadza się to wszystko do tego, że trzeba zainstalować centralne ogrzewanie, odnowić kuchnię i łazienkę i zrobić jeszcze jedną łazienkę. Oczywiście należy całość pomalować i znajdzie się kilka rzeczy do naprawy. Nie będzie to zbyt drogo kosztowało.

— Ile żądają za ten dom?

Wymienił sumę. Phillida ściągnęła wargi.

— Trochę wygórowana cena, tak sędzę.

— To samo stwierdził agent. Złożę ofertę i przypuszczalnie uda mi się zbić cenę o kilka tysięcy. Częściowo pokryłoby to koszty urządzenia wnętrza.

Pierwsza zeszła na dół. Jej nerwy nie były w stanie wytrzymać więcej. Sama myśl o tym, że mogliby mieszkać we trójkę, w tym wspaniałym domu była dla niej śmiertelną udręką. Musiała położyć temu kres.

— Moglibyśmy tu wieść spokojne, piękne życie. — Grant usiłował ją przekonać. Brzmienie głosu zdradzało, że i dla niego ta rozmowa nie jest łatwa. — Andy będzie blisko twoich rodziców, będzie mógł ich odwiedzać po lekcjach, jeździć na kucyku. Twoja matka z przyjemnością zajmie się nim do twojego powrotu z pracy.

— Nie — Phillida powiedziała zdecydowanie, patrząc na schody przed nią. — Poza tym musimy ustalić, jak często będziesz odwiedzał Andiego. Nie możesz tak po prostu przychodzić, kiedy tylko ci się podoba.

— O czym ty mówisz, Phillido? — Wyglądał jak rażony piorunem. — Nie mogę odwiedzać swojego syna?

Odwróciła się i podeszła do niego. Grant patrzył na nią z niedowierzaniem na twarzy.

— Nie możesz przychodzić bez uprzedniego zapowiedzenia.

Powoli zszedł ze schodów.

— Przepraszam cię, jeżeli tak to odbierasz. Na nieszczęście twoja matka nie podziela twojego zdania. Powiedziała mi, że mogę was odwiedzać kiedy chcę. To chyba jej dom?

Phillida oddychała ciężko, starając się pohamować gniew. Nie była pewna, czy głos jej nie zawiedzie, więc odwróciła się na pięcie i dumnie opuściła dom. Nie poczekała na Granta, który zatrzymał się na chwilę, by zamknąć wejście.

Dopiero w połowie drogi do domu rodziców dogonił ją.

— Phillido! — był zdenerwowany. Starał się mówić pojednawczo, lecz bez uszczerbku dla swej dumy. — Ograniczę wizyty, ponieważ wywołują u ciebie tyle niepokoju. Uwierz mi, naprawdę zależy mi na twoim szczęściu. Zobowiązuję się ograniczyć do dwóch wieczorów na tydzień, pod warunkiem, że będę mógł zabierać Andiego na jedno popołudnie w czasie weekendu.

— Ja również pracuję przez cały tydzień.

— Wiem o tym. Ale widzisz go i rano i wieczorem. Będziesz go miała przez pozostałą część weekendu. Oczywiście my także możemy się widywać w tym czasie. — Powiedział ostrożnie.

O Boże! Phillida czuła, że jej serce dzieli się na dwie części. Przez sześć długich lat pielęgnowała w sobie nienawiść do Granta. Wmawiała sobie, że najlepiej będzie, jeśli przyzwyczai się do życia w samotności. Nie potrafiła teraz poddać się nagłemu impulsowi, który nakazywał jej zapomnieć o przeszłości i zbudować nową, kuszącą przyszłość.

Szła dalej w milczeniu. Przy bramie wiodącej do jej domu Grant zatrzymał się.

— Pożegnaj swoich rodziców ode mnie. Nie zjawię się aż do poniedziałku. Powiedz Andiemu o tym. Do widzenia, Phillido.

Mimo, że kontrolował swój głos, było jasne, że bardzo cierpi. Odwrócił się szybko, podszedł do samochodu i odjechał. Phillida czuła się tak nieszczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Idąc do sypialni, zajrzała do Andiego. Spał spokojnie, noga w gipsie wystawała z wąskiego łóżeczka.

„Tak bardzo go kocham” — pomyślała z rozpaczą. Jak ma się zdobyć na to, żeby po części oddać go Grantowi? Gdyby jednak postąpiła tak, jak chce Grant zyskałaby męża, a Andy ojca. Może mieliby więcej dzieci...

O co jej w gruncie rzeczy chodziło? W głębi serca chciała tego, co i Grant. Nawet więcej. Pragnęła miłości, której do tej pory jej odmawiał; jego miłości. Gdyby przyszła wtedy, kiedy jej potrzebowała, zapewniłaby jej poczucie bezpieczeństwa, którego obecnie jej brakuje. Dlatego tak trudno podjąć decyzję.

Położyła się do łóżka i wtuliła głowę w poduszkę. Dlaczego? Dlaczego on musiał wrócić? Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby jej wtedy nie zostawił, gdyby ją kochał.

— Kocham cię, Grant — wyznała poduszce. — Zawsze cię kochałam. Ale teraz kocham dorosłego mężczyznę, a nie chłopaka. To jest o wiele trudniejsze.

Tęskniła za jego ciałem, pragnęła doświadczać jego troski i czułości. Tylko umysł nie mógł pogodzić się z tym, czego domagały się zmysły, rozum stanowczo żądał, żeby natychmiast wykreśliła go ze swego życia. Nie będzie mógł wówczas zranić jej ponownie.

Do rana rozmyślała, nie mogąc zasnąć. Wyglądała źle, ojciec dostrzegł to, gdy wychodził do pracy.

Zmarszczył brwi, odwrócił się i złapał ją za ramię.

— Chciałbym ci jakoś pomóc, kochanie, ale nie potrafię. To jest twój kłopot, ale nie wolno ci się załamywać.

Nagle przytuliła się mocno do niego.

— Tato, nic z tego nie rozumiem — jęknęła. — Kocham go, ale on nie kocha mnie. Jak więc mogę wyjść za niego?

— On cię nie kocha? Skąd o tym wiesz?! Czy dałaś mu szansę, żeby wyznał ci uczucie?

— Miał wiele okazji w Paryżu — odpowiedziała z goryczą w głosie.

— Czas, być może, czas. Ale jeśli ty zawsze go odpychasz, to czy on może wyznać ci miłość? Muszę iść, już i tak jestem spóźniony. Uszy do góry, moja droga. Do zobaczenia wieczorem.

Ranek był bardzo pracowity i nie pozwolił Phillidzie na rozmyślania. W porze obiadowej wyskoczyła do pobliskiego parku. Po drodze kupiła kanapkę i puszkę napoju.

Hadbury było dużym miasteczkiem handlowym, w którym stare budynki walczyły o miejsce wśród nowoczesnych biurowców i rozległych sklepów. Phillida usiadła pod rozłożystym kasztanowcem, prawie tak starym, jak Hadbury.

Zjadła kanapkę i siedziała dalej, obserwując przechadzające się pary i roześmianych nastolatków. Nagle nieoczekiwanie dostrzegła znajomą postać pogrążoną w rozmowie z blondynką. Czy to była Angela Mildmay? Ale skąd Jean-Pierre znałby Angelę? I co on robił w Hadbury?

Prawie już wstała, żeby do niego podejść i przywitać się, ale jakiś instynkt nakazał jej schować się w cieniu.

Zniknęli jej z oczu i Phillida uspokoiła się. Pytania cisnęły się jej do głowy. Co on tutaj robił? Skąd zna Angelę? Przypomniała sobie zadawane przez niego, pozornie niewinne pytania. Znów zaczęła go podejrzewać. Czy rzeczywiście próbował wyciągnąć od niej informacje? Czy gdyby zgodziła się udzielić informacji, zaoferowałby jej pieniądze?

Wielki Boże! Czy nie powinna ostrzec Granta? O ile orientowała się, Angela nie miała dostępu do informacji o dużym znaczeniu. Dokumenty ze spotkania paryskiego były zamknięte w osobistym sejfie Granta. Poza tym ich znajomość mogła być całkiem przypadkowa. Nie można oskarżać bez żadnego powodu. Zwłaszcza, jeżeli Grant jest bliżej związany z Angelą. Wszystko, co mogła zrobić, ograniczało się do ostrożnego ostrzeżenia Granta w poniedziałek.

Andy z dumą podźwigał w poniedziałek do szkoły swój gips.

— To było gorsze, niż wakacje — narzekała jej matka, gdy Andy wyszedł. — Nie miał się czym zająć, ani nie miał się z kim bawić. Całe szczęście, że był ten komputer.

Phillida ucałowała ją w policzek.

— Wybacz mamo! Zawsze najgorsze tobie przypada w udziale.

Dziękuję ci za pomoc.

— Nie przesadzaj! W gruncie rzeczy bardzo to lubię. Chyba starzeję się i stąd to zmęczenie.

— Starzejesz się? To Andy był bardzo męczący. Nawet ja to odczułam. Odpocznijmy dzisiaj. Zasługujesz na to. Na razie!

Zbliżało się popołudnie. Phillida przygotowywała się duchowo do spotkania z Grantem. Lęk i tęsknota ogarniały ją na przemian. Gdy zabrzmiał dzwonek interkomu, odruchowo spojrzała na urządzenie.

— Twoja matka do ciebie — zapowiedziała Dianne. Phillida rzuciła okiem na zegarek. Telefon od matki był czymś niezwykłym, zwłaszcza o tej porze.

— Mama?

— Phillido. Całe szczęście, że cię zastałam. — głos jej drżał. — Przygotuj się dziecko, na najgorsze.

— Co się stało, mamó?

— Porwano Andiego!

— Co?!?! — wykrzyknęła.

Biuro zaczęło się rozpląwać w jej oczach. Oddychała głęboko i z trudem, broniąc się z całych sił przed omdleniem. Słuchawka o mało nie wypadła z ręki. Podniecony głos matki przywrócił ją do przytomności. Chwyliła mocniej słuchawkę, przycisnąwszy ją do ucha.

— Czy jesteś tam, Phillido? Powiedziałam, że porwano Andiego!

— Tak mamó, słyszałam. — Największym wysiłkiem woli opanowała drzenie głosu. — Kiedy?

— Wysiadł ze szkolnego autobusu. Byłam w ogrodzie. Straciłam rachubę czasu. Gdy sobie przypomniałam, pobiegłam szybko do domu Rogera Hallet. Myślałam, że może tam na mnie czeka. Roger powiedział mi, że wysiedli z autobusu razem, a potem jakiś ciemny mężczyzna zabrał gdzieś Andiego zielonym samochodem.

— O nie! — Jęknęła Phillida.

— Roger mówił, że ten człowiek wydawał mu się znajomy. Nie wiedziałam, co zrobić. O mało nie oszalałam! Gdy wróciłam do domu, dzwonił telefon. To był on — Ikała matka. — Ten Francuz, który tu przyszedł kilka dni temu. Powiedział, że nie mamy zawiadamiać policji, że przeprasza za to, co zrobił. Mówił, że ty będziesz wiedziała, o co chodzi. Ma zadzwonić o szóstej.

— Wracam prosto do domu.

— Zawiadam Granta..

— Czy to jego polecenie? — Phillida zapytała gwałtownie.

— Nie, ale musisz to zrobić.

— Zastanowię się, będę w domu za pół godziny.

Położywszy słuchawkę na widełki, ukryła twarz w dłoniach. Umysł odmawiał jej posłuszeństwa, cały wypełniony był strachem.

Oczami wyobraźni zobaczyła buzię Andiego, po chwili zastąpiła ją cyniczna twarz Jean-Pierre'a Lavalą. Na pewno się domyślił, wie, że Grant jest ojcem Andiego. Kierował jednak swój szantaż na nią, na słabe ogniwo. Tortury. Była wtedy taka pewna siebie. Jak gorzko te żarty brzmią teraz. Brutalnie uderzył w najczulsze miejsce.

— Andy — wyszeptała bezsilnie.

Zdrada tajemnicy Springboard Computers Systems nie wchodziła w rachubę. Nie mogła zawieść zaufania Granta. Z drugiej strony jednak nie mogła dopuścić, by cokolwiek stało się Andiemu. Z rozpaczą uświadomiła sobie, że Andy jest dla niej ważniejszy. Będzie musiała zdradzić firmę.

Co zrobiłby Grant, gdyby mu powiedziała? Zakaże jej wydania tajemnicy? Od tego zależy jego reputacja, jego praca, praca wielu innych ludzi. Firma może splajtować.

Zadzwoń do niego i wymyśl coś, żeby przyszedł w odwiedziny w inny dzień. Może lepiej mu powiedzieć? Co robić?

On był tak samo zamieszany w tę sprawę, jak ona. Właściwie to była jego wina. To i jeszcze wiele innych rzeczy. Niech więc dźwiga brzemię. Ale jeśli poświęci Andiego...

Nie, on tak nie postąpi, była o tym całkowicie przekonana. Potrzebowała w nim oparcia, jak nigdy dotąd; kogoś silnego, kogoś, kto kocha Andiego tak samo jak ona. Sięgnęła po słuchawkę.

Numer telefonu Granta był pod ręką. Wykręciła go drżącymi palcami. Sekretarka natychmiast połączyła ją. Gdzie była Angela? To ona powinna odebrać telefon.

— Grant? Jesteś sam?

Pomimo usilnych starań głos jej drżał. Grant przez chwilę milczał, potem powiedział, żeby poczekała.

Usłyszała, jak kazał Angeli pójść przepisywać dopiero co podyktowane listy.

— Tak, kochanie. Co się stało?

— Grant, stało się coś strasznego. Pamiętasz Jean-Pierre'a Lavalą? Poczula, jak po drugiej stronie wzrasta napięcie.

— Tak.

— On porwał Andiego — powiedziała łkając. Grant zaklął siarczyście.

— Przepraszam — wymamrotał niewyraźnie. — Jak to się stało?

— Muszę jechać prosto do domu. Laval ma zadzwonić o szóstej. Mama jest bardzo zdenerwowana.

— Ty też, sądząc po głosie. Nie ruszaj się z miejsca. Przyjadę po ciebie za pięć minut. Poczekasz?

— Tak — powiedziała słabym głosem.

— Zaraz tam będę.

Rzucił z trzaskiem słuchawkę. Phillida patrzyła tępo przed siebie. Wstała z wysiłkiem z krzesła, cała się trzęsła.

RS

Rozdział VIII

Biały samochód Granta zatrzymał się przy niej. Otworzyły się drzwi po stronie pasażera. Ledwie wsiadła, już ruszył.

Phillida zacisnęła w swych palcach pasek torebki. Usta miała suche.

— Grant — wydobyła z siebie — zdajesz sobie sprawę z tego, czego on żąda?

— Tak. Niech go szlag trafi!

— Będę... musiała... mu powiedzieć.

— Może uda się jakoś inaczej!

— Wydawał się taki miły... zaczęłam coś podejrzewać, gdy...

— Ja też. Gdy zjawił się w twoim domu. Wybacz, ale to nie było rozsądne. — Uśmiechnął się blado. — Od razu wydało mi się podejrzane, gdy twierdził, że twój urok sprowadził go do Daiton, kochanie. Podjąłem wtedy pewne kroki.

— Jakie?

— Moi współpracownicy w Paryżu wynajęli kontrszpiega. Nie mieli zbyt wielu danych. Imię, rysopis i numer telefonu, który zostawiłaś wyjeżdżając. Ale wystarczyło, żeby zacząć szukać.

— Zachowałeś tę kartkę z numerem przez cały czas?

— Tak — Grant miał ponurą minę.

— O!

— Agencja, w której wynajęliśmy detektywa, przysłała informację zaledwie godzinę temu. Miałem zamiar cię ostrzec wieczorem.

— Ja także miałam zamiar to zrobić.

— Ty też? Dlaczego?

— Mów pierwszy. Kim on jest?

— Nie nazywa się Jean-Pierre Laval. Tego nazwiska używa nielegalnie. Z tego, co zdołali się dowiedzieć, jego prawdziwe nazwisko to Paul Dupont. Jest specjalistą od szpiegostwa przemysłowego. Sprzedaje swoje informacje największym szychom. Ale kochanie, słuchaj. On nie jest niebezpieczny, gdyż nie używa siły fizycznej. Oszustwa owszem, ale nigdy jeszcze wobec nikogo nie stosował przemocy. Nie wydaje mi się, żeby Andiemu coś groziło.

Trochę się uspokoiła. Była zdolna myśleć trzeźwiej. Siły czerpała z oparcia, które znalazła w Grancie. Gdy przyjechali do domu, na tyle już się opanowała, że była w stanie przywitać się z rodzicami, nie wybuchając płaczem. Jej ojciec przyjechał wcześniej z pracy przynaglany rozpaczliwymi telefonami żony.

— Nie martw się, kochanie — wyszeptał biorąc ją opiekuńczo w ramiona. — Odzyskamy go. Co za piekielna sprawa!

Uśmiechnęła się bez przekonania.

— Że też zawsze coś się nam musi przytrafić! Pozostała jeszcze godzina do telefonu Duponta. Rozpoczęli układać plan dalszego postępowania.

— Podasz mu trochę fałszywych informacji, żeby się zapchał — powiedział Grant. — Będą brzmiały wiarygodnie, więc nie domyśli się, że są nieprawdziwe. Nie jest ekspertem.

— Co mam wobec tego powiedzieć? — Spytała.

— Napiszę ci na kartce.

Przez dłuższy czas pośpiesznie pisał w podręcznym notatniku, popijając herbatę. Phillida chodziła niecierpliwie po pokoju. Rodzice w milczeniu siedzieli na kanapie.

— Proszę.

Przejrzała szybko to, co napisał i uśmiechnęła się z ulgą po raz pierwszy od czasu, gdy rozpoczął się ten koszmar.

— Tak, Grant. Powiem mu to, brzmi przekonująco. Jesteś geniuszem.

Na jego przystojnej twarzy pojawiło się napięcie.

— Boże, mam nadzieję, że nam się powiedzie. Phil-lido, jeszcze jedno. Masz go dalej nazywać Jean-Pierre'm. Nie ma sensu, żeby się dowiedział, iż wiemy o nim więcej, niż myśli. Może przez to popełnić jakieś głupstwo.

Telefon zadzwonił dokładnie o wyznaczonej porze.

Phillida stała przy aparacie już od dłuższej chwili. Rzuciła się, by podnieść słuchawkę.

— Tak?

— A! Kochanie. Przekazano ci moją wiadomość?

— Czego żadasz? — Głos jej wyraźnie zadrżał.

— Z pewnością się domyśliłaś. Chcę znać szczegóły tajnego spotkania w Paryżu. Każdy szczegół.

— Ale ja nie mogę... — zaprotestowała.

— Możesz, możesz. Jeśli chcesz zobaczyć syna, to na pewno możesz. — Wycodził przez zęby.

— Och! Czy on tam jest? Czy mogę z nim porozmawiać?

— Jest tutaj, ale nie będziesz mogła z nim mówić, tak na wszelki wypadek, moja droga, gdybyś zrobiła to głupstwo i zawiadomiła policję...

— Nie zawiadomiłam...

— Dobrze, odkładam słuchawkę. Zadzwoń za dwie minuty.

Grant trzymał głowę bardzo blisko Phillidy. Chciał słyszeć to, co mówi Paul Dupont. Objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Phillida oparła głowę na jego piersi.

— Dwie minuty — wyszeptała.

— Słyszałem, kochanie. Odwagi.

Pełni napięcia oczekiwali w milczeniu. Na dźwięk telefonu zerwali się wszyscy razem. Phillida podniosła słuchawkę. Obyło się bez wstępów.

— Słuchaj — Dupont powiedział stanowczym głosem. — Spiszysz wszystko, co wiesz. Nie pozwól, żeby Davis próbował zrobić mnie w konia. Jeżeli odkryję, że informacje są fałszywe — koniec z Andym. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak — wyszeptała w odpowiedzi Phillida.

— Nie myśl, że te pogrożki są czcze. Spiszysz prawdę. Daję ci na to dwie godziny. Po tym czasie zadzwonię i podam ci miejsce, gdzie się spotkamy. Jeśli zawiadomisz policję, to nie ujrzysz już więcej syna.

— Nie zabijesz go, Jean-Pierre! Nie mógłbyś tego zrobić!

— Masz rację, nie mógłbym. Ale i tak już byś go nigdy nie zobaczyła. Nie wiedziałabyś czy jest chory, czy zdrowy. Szczęśliwy, czy smutny...

— O, nie!

— Nie rozpaczaj. Przyniesiesz mi informacje, które potrzebuję i Andy wróci do ciebie dziś wieczorem. Ale zapamiętaj sobie, mogę go znów porwać w każdej chwili. Dwie godziny, Phillido.

Odłożył słuchawkę. Odwróciła się w stronę Granta.

— Słyszałeś?

— Musimy wymyśleć coś innego. Niespodziewanie straciła nad sobą kontrolę.

— To wszystko twoja wina — natarła na niego. — Gdybyś mnie nie ciągnął ze sobą do tego przeklętego Paryża, nic by się nie stało. Zmusiłeś mnie i to są rezultaty.

— Nie przyszło ci do głowy, że nie zdawałem sobie z tego sprawy?

Jego głos był ledwo słyszalny. Głowę miał pochyloną. Phillida łkała głośno. Grant podniósł twarz i spojrzał w oczy pełne łez, które go oskarżały. Był zmartwiony.

— Gdybym mógł to cofnąć, zrobiłbym to. Jednak to jest niemożliwe, więc zrobię wszystko, co w mojej mocy. Przekażemy mu prawdziwe informacje.

Chodziło o życie jego własnego syna; jego niemalże święte słowa zobowiązujące do dotrzymania tajemnicy, jego praca, nie miały tak wielkiego znaczenia. Phillida nagle uświadomiła sobie, że ich ból był jednakowo wielki.

Grant! — Wykrzyknęła. — Przepraszam. Tak bardzo się boję...

Rozluźniła zaciśnięte pięści- i przytuliła się do niego. Położywszy mu głowę na piersiach, usłyszała odgłos bicia serca. Objął ją mocno ramionami, policzkiem dotknął jej puszystych włosów.

— Phillido — wyszeptał powoli — mój skarbie. Delikatny promyczek ciepła rozgrzewał stroskane i pełne bólu serce Phillidy... Od momentu, gdy zabrał ją z pracy, nazwał ją „kochanie”; a teraz „mój skarbie”. Była przekonana, że czynił to podświadomie, bez celowego dobierania słów.

Jeżeli rzeczywiście słowa te odzwierciedlały to, co czuł do niej...

Pomimo całej tragicznej sytuacji poczuła, że budzi się w niej nadzieja. Jeżeli on ją kocha, to ten fakt wszystko zmienia. A jeśli razem stawią czoła temu nieszczęściu...

Uniosła twarz prowokując go do pocałunku.

Grant ze zdziwieniem wziął głęboki oddech. Gdy ich usta spotkały się, ojciec Phillidy trącił żonę łokciem, zostawili ich samych.

Pocałunek Granta, pełen czułości, przywracał jej utracone zaufanie. Phillida przywarła do niego gwałtownie. Strach ustąpił.

— Co zrobimy — spytała.

— Trzeba się zastanowić — odparł ponuro. — Usiądźmy.

Usiedli na sofie. Phillida w objęciach Granta wtuliła głowę w jego ramię. Grant miał zatroskaną twarz. Zastanawiał się.

— On musi być gdzieś blisko — odezwał się w końcu. — Nie będzie chciał jechać zbyt długo, by cię spotkać. Zastanawiam się czy dzwonił z budki, czy telefonu.

— Nie wiadomo. Teraz już się nie da rozróżnić.

— Nic nie wywnioskujemy tą drogą. Sądysz, że wie o mojej obecności tutaj?

— Chyba się domyślił, że cię powiadomiłam. Ależ Grant! Ja ci przecież nie powiedziałam!

— Tak. Miałaś mi coś powiedzieć. O co chodziło?

— Widziałam Angelę razem z nim. W piątek.

— Co? — Wykrzyknął. — Gdzie?

— W parku, w porze obiadowej. Wyglądali na starych znajomych. Myślałam, że chce coś od niej wyciągnąć, tak jak próbował to zrobić ze mną. Nie zadzwoniłam do ciebie od razu, bo ona niewiele wie, a ty i tak trzymasz dokumenty w sejfie, więc nie mogła ich dostać.

— Jedno jest pewne — powiedział gorzko — zrządzenie opatrności, że nie wziąłem jej do Paryża. Sprzedałaby tajemnicę bez chwili zastanowienia.

— Grant — cicho zapytała Phillida — czy coś cię z nią łączy?

— Wielki Boże! Nie! Mówiąc szczerze, zacząłem myśleć nad tym, jak się jej pozbyć. Ostatnio za bardzo na mnie nastaje.

— Czy to właśnie miało miejsce podczas bankietu? Spojrzał jej prosto w oczy.

— Dlatego wyszłaś tak wcześnie? Czy dlatego, że zniknęliśmy?

Phillida pokiwała głową.

— Wtedy się zaczęło. Od tamtego czasu jest coraz gorzej.

— Może być zła na ciebie za to, że nie wziąłeś jej do Paryża, i za to, że jej unikasz. Przypuszczalnie to ją skłoniło do współpracy z Jean-Pierre'm.

Nagle zabłyśły mu oczy.

— Oczywiście! Najdroższa. Prawdopodobnie rozgryzłaś ten twardy orzech. Mogę się założyć, że on teraz jest z Angelą.

— Razem z Andym? — Z zapartym tchem spytała Phillida.

— Oczywiście, że tak! Jedynym innym miejscem, gdzie mógłby się udać, jest hotel lub motel. Z tych dwóch, motel jest bardziej prawdopodobny, mężczyzna z chłopcem na pewno nikomu nie rzuca się w oczy. Wydaje mi się, że są z Angellą Mildmay! Gdzie ona do licha mieszka?

— Chwileczkę — Phillida zamknęła oczy, usiłując się skupić. Bardzo rzadko pamiętała adresy osób, którym załatwiała pracę. Ten adres szczególnie utkwił jej jednak w pamięci...

— Mam! — uśmiechnęła się z triumfem. — Mildway Crescent 38. Pamiętam, jak ktoś kiedyś pomylił jej nazwisko z nazwą ulicy.

Grant złapał ją w objęcia i przytulił, aż straciła oddech.

— Doskonale Phillido! Chyba pojedziemy do Handbury sprawdzić. Gdzie to jest?

— Tata ma plan miasta. Pójdę po niego.

Grant rozłożył mapę na sofie. Wodził palcem, szukając ulicy. Zatrzymał go nagle.

— To tutaj. Na przedmieściu. W pobliżu kolei.

— Grant! — Zapiszczała Phillida. — On tam jest!

— Skąd wiesz?

— Podczas rozmowy przez telefon słyszałam w tle jakiś hałas. To na pewno był odgłos przejeżdżającego pociągu, taki specyficzny dźwięk.

Daję głowę, że to był pociąg.

— No to jesteśmy w domu. Prawie w domu. Musimy pojechać tam i zabrać Andiego.

— To może nie być takie proste...

— Wiem. Ale ani Angela, ani Dupont nie są szaleńcami. Sądzę, że po prostu usiłują nas zastraszyć.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

— Co proponujesz, Grant? — Jej ojciec spytał cicho.

— Możemy tam być dobrze przed siódmą. Jeżeli uda mi się zejść ich od tyłu, wejść przez drzwi kuchenne, a Phillida w tym czasie zadzwoni do drzwi wejściowych, zaskoczemy ich. Sprawa powinna się rozwiązać w ciągu kilku minut. Będziemy tu najpóźniej przed ósmą. Jeżeli przypadkowo się omyliliśmy, albo ich nie będzie, wrócimy tutaj i poczekamy na telefon. Będziemy musieli w takim wypadku przekazać prawdziwe informacje.

— Co jest równoznaczne z utratą pracy przez ciebie, mój chłopcze.

— Będzie jeszcze czas o tym myśleć, jak się to stanie. Moja rodzina więcej dla mnie znaczy, niż jakaś głupia praca — stanowczo stwierdził Grant.

Phillida ponownie poczuła, że ogarnia ją ciepło. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Jedziemy więc?

— Jadę z wami — z determinacją powiedział ojciec.

— Nie — Grant odpowiedział równie stanowczo. — Niech pan zostanie tutaj, z panią Dennison. Jeżeli nie wrócimy do ósmej, albo nie zatelefonujemy do tego czasu, niech pan zadzwoni i zawiadomi policję. Jeśli coś się nie powiedzie, on tu już nie zadzwoni. Wtedy cała nasza nadzieja w policji.

Ojciec miał pewne wątpliwości co do słuszności tego planu.

— Jeżeli tak to widzisz. Myślałem, że będę mógł pomóc...

— Musimy mieć kogoś w odwodzie — Powiedział Grant miękko. — Sprawdzimy w ten sposób, jak poważne oni mają zamiary. Będzie pan naszą linią ratowniczą. To jest bardzo ważne dla nas.

— W porządku. Zostaję.

Phillida uściskała najpierw matkę, potem ojca. Grant ucałował jej matkę w policzek, z ojcem podali sobie dłonie.

— Powodzenia — wyszeptał ojciec. — Przywieź naszego chłopca całego.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy — stanowczym głosem obiecał Grant. Objął ramieniem Phillidę i zdecydowanym krokiem wyszli do samochodu.

— Grant zaparkował auto tuż przed skrzyżowaniem w Milaway Crescent. Ulicę przemierzyli pieszo. Przed nimi stał szereg domów.

— Nie ma nigdzie numerów — Grant zachnął się niecierpliwie.

— Dziesięć — pierwsza dostrzegła numer Phillida. — Po tej stronie ulicy.

— Jeszcze czternaście domów. Zwolnijmy. Phillida zmniejszyła tempo. W strachu o Andiego zupełnie zapomniała o środkach ostrożności.

— To ten dom na rogu. — Głos Phillidy zdradzał napięcie.

— Zgadza się. Mamy szczęście. Powinno mi się udać przeskoczyć boczny murek. Łatwo będzie się schować.

Zbliżali się ostrożnie, osłonięci rzędem krzaków i ścianą garażu.

Phillida wychyliwszy się między krzakami, złapała kurczowo dłoń Granta.

— Jego samochód — wyszeptała. Jestem tego pewna.

— Okay, dziecko — spróbował uspokoić ją w ten sposób. —
Wkraczamy do akcji. Przeskoczę przez ogrodzenie, schowam się za
garażem, będę czekał, aż usłyszę pukanie. Zapukaj głośno!

— A jeśli będę musiała zadzwonić?

— Powinienem usłyszeć dzwonek. Zresztą masz rację. Daję ci
trzydzieści sekund na dojście do wejścia, potem ruszam w stronę tylnych
drzwi.

— A jeżeli będą zamknięte?

— Okrążę szybko dom i dołączę do ciebie. Spojrzał jej w oczy,

— Odwagi, kochanie. Cokolwiek się stanie, jesteśmy razem,
walczymy o Andiego.

Musnął ją delikatnie ustami na pożegnanie. Odwrócił się szybko i
znalazł dziurę w krzakach. Wspiął się po murze.

— Trzydzieści sekund — wyszeptał. — Ruszaj.

Serce Phillidy biło tak głośno, że bała się, iż ktoś usłyszy.

Pośpiesznie dobiegła do rogu. Za zakrętem zwolniła. Wolnym, spokojnym
krokiem minęła bramę ogrodu. Znalazła się przy drzwiach. Okazało się, że
była i kołatka, i dzwonek. Użyła obu.

Z wnętrza domu dobiegły ją jakieś odgłosy. Zamarło jej serce. Głos
dziecka! Andy!

Ze strachu i niecierpliwości zadzwoniła jeszcze raz. Ktoś zbliżył się
do drzwi i otworzył je.

Przez ułamek sekundy zwykle wyrachowane, niebieskie oczy Angeli
Mildmay wypełnione były bezgranicznym zdziwieniem. Bardzo szybko
jednak opanowała się.

— Pani Dennison? — Wydobyła z siebie fałszywy uśmiech. — Co panią tutaj sprowadza? Czym mogę służyć?

— Przyszłam po mojego syna — oznajmiła stanowczym głosem — Proszę mi go oddać.

Angela zasapała. Cofnąwszy się, próbowała zatrzaskać drzwi, ale Phillida była szybsza. Desperacja dodała sił jej słabemu ciału. Sforsowała drzwi ku zdziwieniu Angeli i już będąc wewnątrz zobaczyła Granta przechodzącego swobodnym krokiem od strony kuchni.

— Który to pokój? — Zagadnął ją spokojnie.

Stłumiony pisk rozległ się zza drzwiami po prawej stronie. Otworzył je gwałtownym ruchem.

Phillida rzuciła się do pokoju, w którym siedział Andy. Paul Dupont vel Jean-Pierre Laval trzymał go w uścisku.

— Mamusiu! — Zapiszczał Andy.

Dupont szarpnął nim tak mocno, że Andy skrzywił się z bólu.

— Bądź cicho! Nic ci się nie stanie, mały.

— Puść go! — Wykrzyknęły białe ze strachu wargi Phillidy.

— Jeszcze nie! Przynieśliście informacje?

— Nie.

Dupont mocniej uchwycił Andiego.

— Głupio z waszej strony.

Grant wciągnął Angelę do pokoju. Zatrzaskał za nią drzwi i zablokował je swoim ciałem. Andy przestał się szamotać. Wyglądał raczej na rozdrażnionego niż przestraszonego. Jego widok sprawił niewypowiedziany ból Phillidzie. Podeszła do niego.

— Nie bój się, kochanie — wyszeptała. — Zaraz wracamy do domu.

— Wątpię w to — powiedział Dupont przeciągając słowa. — Musicie mi dostarczyć informacji, której żądam. — Spojrzał na Granta. — Ty, Davis niewątpliwie znasz je. Będziecie mogli odejść wszyscy po spisaniu na kartce tego, o co proszę.

— Wysoko mierzysz — odparł Grant chłodnym głosem. — Te informacje należą do mojej firmy. Nie mogę ci ich zdradzić.

— Jeżeli tego nie zrobisz, albo podasz mi fałszywe dane, chłopiec już nigdy nie będzie bezpieczny. Pewnego dnia zniknie i już go więcej nie znajdziecie.

Phillida westchnęła. Grant uśmiechnął się.

— Blefujesz, Dupont.

Francuz wybałuszył oczy i gapił się na Granta.

— Znasz moje prawdziwe nazwisko? — Zapytał miękko.

— Nie było trudno go odkryć.

— Więc znasz mnie, ale to i tak niczego nie zmienia.

— Wiem Dupont, że nie jesteś szaleńcem. Ani ty, ani Angela. Ona jest chciwa, nierozważna, możliwe że jest mściwa. Ty zaś jesteś nieuczciwy i przebiegły, ale nie odważysz się uciec do przemocy fizycznej. Wiesz o tym, że porwanie to poważne przestępstwo kryminalne. Blefujesz, Dupont.

— Jesteś tego pewny?

Grant poruszył się lekko i oparł o drzwi.

— Mam propozycję, Dupont. Policja nic jeszcze nie wie. Poza tym do tej pory nic złego się nie stało. Jeżeli puścisz Andiego i wyniesiesz się z tego kraju, zapomnimy o wszystkim. Jeżeli będziesz się upierał, musisz zabrać nas wszystkich troje ze sobą. A to jest niewykonalne.

— Dlaczego wszystkich troje? Biorę tylko dzieciaka.

— Nie pozbędziesz się nas. Nie opuścimy go.

— Nie macie wyboru — powiedział twardym głosem Dupont. —

Angelo, linę!

Chciała wykonać polecenie Duponta, ale wydała z siebie tylko ciche miauknięcie. Lekki do tej pory uścisk Granta stał się twardy jak imadło.

— Nie waż się ruszyć — zamruczał. — Stój spokojnie!

Dupont westchnął głęboko.

— Zmuszasz mnie do tego — zauważył posepnie, przesuując nieznacznie Andiego tak, aby mógł swobodnie sięgnąć do kieszeni.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Phillida nigdy nie wiedziała do końca, jaka była kolejność tych wydarzeń. Gdy chwyt Duponta zelżał, Andy z całych swoich sił spróbował się mu wyrwać. Wywinął się z kolana, na którym trzymał go Francuz i skrył się w objęciach matki. Grant niczym błyskawica znalazł się przy Duponcie. Kopnięciem wytrącił mu z ręki jakiś przedmiot, coś metalowego rąbnęło o podłogę. Phillida krzyknęła.

Grant rzucił się po to, był pierwszy. Szybkość Duponta opóźnił głęboki, wygodny fotel, w którym siedział.

Grant wyprostował się, ważąc w dłoni rewolwer. Nacisnął spust i uśmiechnął się zadowolony.

— Nie naładowany. Ładnie z twojej strony, Dupont.

Paul Dupont wzruszył ramionami.

— Nie można zawsze wygrywać. Myślałem, że moja mała Phillida podda się bez walki. Pomyłka w ocenie przeciwnika.

Phillida pokręciła przecząco głową. Gdy się odezwała, jej głos był matowy.

— Nie, Jean-Pierre. Twoim błędem było zlekceważenie i niedocenienie Granta. To on był twoim przeciwnikiem.

Dupont poruszył się.

— Zacząłem coś podejrzewać, gdy Angela poinformowała mnie o nagłym wyjściu Granta z biura. Skąd mogłem wiedzieć? Byłaś tak do niego wrogo nastawiona! Wydawało mi się, że będziesz ostatnią osobą, która poprosiłaby Granta o pomoc, mimo że... — wyraźnie nie mógł się powstrzymać od uśmiechu — są tacy do siebie podobni.

Phillida poczerwieniała. Przytuliła do siebie mocniej Andiego, który ze strachem patrzył to na jednego to na drugiego mężczyznę. Był mocno oszołomiony.

— Wujku Grant, czy to prawdziwy pistolet? — Zapytał piskliwie.

— Tak, ale bez naboji. Nie będzie mógł wystrzelić. Nie masz się czego bać.

— Nie boję się. Czy mogę go potrzymać?

— Oczywiście, że nie, mój chłopcze. Czas, żeby cię zabrać do domu i położyć spać. Chyba się rozumiemy, Dupont?

— Doskonale, mój drogi. Tak jak podejrzewałeś — blefowałem. Nie przypuszczałem, że będziesz chciał to sprawdzić. — Wzruszył ramionami. — Nie czynię krzywdy ludziom. Chyba, że w obronie własnej. We Francji noszę zawsze naładowany pistolet. Tam się nie da działać bez uzbrojenia. To jest zbyt niebezpieczne.

— Tak jak i w Ameryce. Dlatego w razie potrzeby umiałbym go użyć. Cieszę się, że jestem znów w Anglii, gdzie takie środki ostrożności są nie potrzebne.

— Powodzenia, mój przyjacielu. Jeżeli spotkamy się ponownie, ufam, że się zaprzyjaźnimy.

— Wątpię w to. Zadałeś nam zbyt wiele bólu. Co do ciebie Angelo, to możesz przyjść jutro spakować swoje manatki. Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy. Właściwie — mówił dalej ostrym głosem — najlepiej byłoby, gdybyś wyniosła się z tej okolicy. Twoja obecność tutaj będzie nas tylko drażniła. Nie próbuj nawet prosić o wystawienie referencji.

— Dobrze wam tak. Tobie i twojej kochance — Angela prychnęła z nienawiścią.

— Zamknij się! — Głos Granta przeciął powietrze niczym bicz. — Dupont wyrządziłby nam wielką przysługę, zabierając cię do Francji. Pasujecie do siebie. Być może będziecie współpracować w Paryżu — Grant cisnął nie naładowany pistolet na podłogę. — Chodźmy, Phillido, skończyliśmy tę rozmowę.

Phillida prowadziła chłopca do drzwi. Grant pochylił się i wziął go na rękę, Andy oplótł swoimi małymi dłońmi jego szyję.

— Powiedziałeś, że masz dla mnie model wieży Eiffla. Okłamałeś mnie. — Andy oskarżycielsko popatrzył na Duponta. Następnie skierował wzrok na rozgniewaną Angelę i powiedział w najbardziej wytworny sposób:

— Dziękuję bardzo za herbatę.

Grant kurczowo zacisnął wargi, a w oczach Phillidy pojawiły się łzy.

— Żałuję mojego podstępu. — Dupont skłonił głowę. — Mam nadzieję, że herbata ci smakowała.

Grant objął wolną ręką Phillidę, Andy przytulił się mocniej do jego szyi, razem wyszli z domu.

RS

Rozdział IX

Gdy niebezpieczeństwo minęło, Phillida zaczęła szczerkać zębami. Grant mocniej przytulił ją do siebie.

— Już po wszystkim, kochanie — powiedział cicho. — Nie ma się czego bać.

— Grant! Byłam taka przerażona. Ten rewolwer. Wiedziałeś, że nie był naładowany?

— Dopiero, gdy go podniosłem. — W uśmiechu pokazał zęby i pogłaskał ją po głowie. — Nauczyłem się w Ameryce, jak dbać o swoją skórę i jak walczyć o swoje bezpieczeństwo.

Otworzył samochód i wskazał jej miejsce obok kierowcy. Phillida wyciągnęła rękę po Andiego.

— On może jechać z tyłu.

— Nie, chcę go mieć przy sobie.

Grant bez dalszego sprzeciwu posadził Andiego na jej kolanach. Wsiadł i pochylił się w ich stronę, by zapiąć im pasy.

— Jesteś pewna, że tak jest wam wygodnie? — Uśmiechnął się do niej. — Lepiej byłoby wam z tyłu.

— Chyba nie — uśmiechnęła się niepewnie, wtulając głowę w jego ramię. — Chcę być blisko źródła mojej siły.

Grant szybko wciągnął powietrze.

— Phillido, nie oceniaj mnie zbyt pochopnie. Nie jestem taki odważny. Miałem przewagę nad nim, wiedziałem, czego można się po Duponce spodziewać, mając informacje o nim.

— Dzięki Bogu, że to wiedziałeś. Cieszę się, że w gruncie rzeczy Dupont nie okazał się taki zły.

Przypomniała sobie wspaniały wieczór spędzony w Paryżu. Miała pewną satysfakcję: niewiele się pomyliła co do Jean-Pierre'a. Co prawda nie przysparzało jej chwały to, że chciał ją wykorzystać do swoich niecnych planów. Musiał ją śledzić aż do Dzielnicy Łacińskiej... Musiał zaplanować ich pierwsze spotkanie...

Samochód nagle zatrzymał się.

— Zatelefonuję do twoich rodziców. Niech się już nie martwią.

— O, tak! Zapomniałabym... Dziękuję.

Wrócił po chwili.

— Nie musimy się już spieszyć. — Zdał relację. — Bardzo się ucieszyli.

Grant prowadził samochód, Phillida siedziała bez słowa, zatopiona w myślach. Gdy opuścili miasto i wjechali na drogę wiodącą do Dainton, poruszyła się niespokojnie.

Delikatnie potrząsając chłopcem wyrwała go ze snu. Musiała powiedzieć mu coś bardzo ważnego i to natychmiast, dopóki jest w stanie to zrobić.

— Andy.

— Mmm?

— Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że twój tatuś musiał wyjechać, kiedy się urodziłeś?

Andy wyraźnie zainteresował się. Phillida poczuła, że Grat w napięciu oczekuje dalszego ciągu.

— Pamiętam. Kiedyś chciałem, żeby wrócił. Ale teraz, gdy wujek Grant przyjechał, już mi wszystko jedno.

— On wrócił, kochanie. — Jej głos drżał. Szarpnęło samochodem.

— Wrócił? Gdzie? Czy mogę go zobaczyć?

Radosny głos chłopca zabrzmiał przenikliwie. Zarzekał się, lecz mimo to wciąż tęsknił za swoim ojcem. Phillida przycisnęła jego główkę do swojej piersi.

— Czy myślisz, że będziesz mógł przyzwycząić się nazywać wujka Granta tatusiem?

Phillida rzuciła niespokojne spojrzenie na Granta. Siedział sztywno, zacisnął ręce na kierownicy tak mocno, że aż pobieleały.

— Wujek Grant? — Andy zapał z radości. — Naprawdę mamusiu on jest moim prawdziwym tatą?

— Tak, kochanie. Naprawdę twoim prawdziwym tatą.

— Wow! Aaa! — Andy krzyknął z radości. — Tatuś! Tatuś!

Samochód skręcił gwałtownie i zatrzymał się na poboczu. Grant spojrział bezradnie na Phillidę.

— Co za porę wybrałaś! — Zaprotestował.

Spuściła wzrok.

— Obawiałam się, że potem zabraknie mi odwagi.

Uśmiechnął się.

— Czy było to takie trudne? — Zapytał miękko. Podczas tej rozmowy Andy bez większych rezultatów usiłował wyplatać się z pasów bezpieczeństwa, by usiąść na kolanach Granta. Nie dał rady, gdyż zeszywniały mu nogi. Grant odpiął pas i wziął małego do siebie.

— Więc — cicho powiedział — spotkaliśmy się w końcu, synu!

Andy złożył na jego policzku swój specjalny pocałunek.

— Tatusiu, kocham cię. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

Ręce chłopczyka oplotły szyję Granta. Phillida wyciągniętą dłonią pogładziła jego delikatne włosy. Malutki chłopczyk odchodził od niej...

— Nie wiedziałem, czy będę mógł zostać. — Oczy Granta spotkały wzrok Phillidy. — Nie chciałem robić ci nadziei na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

— Zostaniesz, prawda? Zostaniesz?

— Tak. Andy. Zostanę w Hadbury.

— Andy, jak chcesz? Możemy się wszyscy wprowadzić do Mulberry House. Wiesz, gdzie to jest. Codziennie mógłbyś widywać się z babcią i dziadkiem, jeździć na Dannym...

— Kiedy? — Zapytał podekscytowany Andy. — Kiedy możemy się przeprowadzić?

— To zależy — ostrożnie powiedział Grant. Oczy jego i Phillidy znów spotkały się. — Czy mam to rozumieć jako zmianę twojej decyzji? Wyjdiesz za mnie?

Pokiwała głową. Nagroził ją uśmiechem pełnym radości. Pochylił się w jej kierunku, a ona przysunęła się do niego. Ich wargi spotkały się nad głową dziecka.

— Hej! — Zaprotestował Andy, wiercąc się niespokojnie. — Zgniatacie mnie!

— Więc wracaj na kolana mamy i jedziemy do domu! — Radośnie wykrzyknął Grant.

Andy zapatrzył się przed siebie. Wydawało się, że jest głęboko zamyślony.

— Sądziłem, że nie lubisz wujka Granta — powiedział głosem pełnym wątpliwości, patrząc prosto w twarz Phillidy. — Ale dzisiaj go pocałowałaś, mojego tatusia. Musisz go więc choć trochę lubić. Nie byłoby dobrze, gdybyś mu cały czas dokuczała...

Phillida stłumiła śmiech. Jej ramiona mocniej przygarnęły do siebie małą istotkę. Grant spojrział na nią z zainteresowaniem. W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

— Nie będę mu już... dokuczała, kochanie — obiecała, z trudem opanowując drżenie głosu. — Ja... my... lubimy się nawzajem.

— Możesz mu to powiedzieć. — Zażartował Grant. Nagle spoważniał. — Wiesz, Andy, bardzo zraniłem twoją mamusię, kiedy wyjechałem do Ameryki. Było jej bardzo trudno wybaczyć mi, ale w końcu, sądzę, tak się stało.

— O! — Andy zwinął się w kłębuszek w objęciach Phillidy. — Powiem jutro w szkole, że mam tatusia...

Umilkł niespodziewanie. Zasnął.

— Grant — wyszeptała Phillida. — Wybacz mi, że sprawiłam ci tyle przykrości.

— Nie ma o czym mówić, kochanie. Zasłużyłem na znacznie więcej. Cieszę się, że mi przebaczyłaś.

— Nie przebaczyłam — blady uśmiech wykwitł na jej wargach.

Grant skrzywił się.

— Zraniłeś mnie zbyt mocno — wyjaśniła. — Ale teraz rozumiem już to wszystko lepiej. Wierzę, że mogę ci zaufać, że mnie nie opuścisz znowu.

— Przysięgam.

— Dlatego pozwalam, by serce zawładnęło nad rozumem. Chcę cię poślubić, kochanie. Zawsze chciałam. Niech przeszłość martwi się sama za siebie. Odtąd będę patrzeć tylko w przyszłość.

Po raz pierwszy użyła słowa „kochanie”. Wywołało to rumieniec na opalonej twarzy Granta. Zdjął rękę z kierownicy i uchwycił dłoń Phillidy.

Andy był tak zmęczony, że po przyjeździe do domu nie mogli go obudzić. Po raz pierwszy Phillida cieszyła się, że może razem z Grantem ułożyć malca do snu.

Nie potrafiła sobie dokładnie wytłumaczyć zmiany, jaka w niej zaszła. Tego wieczoru Grant, w jej mniemaniu, uzyskał prawo do Andiego.

Wszystko to, co się wydarzyło, wywoływało u niej zdziwienie. Gdyby nie pojechała do Paryża, nie spotkałaby Jean-Pierre'a. Gdyby go nie spotkała, nie doszłoby do tej afery. Gdyby nie porwanie Andiego, nigdy nie dowiedziałyby się, jak bardzo Grantowi zależało na niej i chłopcu. Nie dowiedziałyby się, jak bardzo jej samej zależało na nim.

On jednak wciąż nie wyznał, że ją kocha.

Późnym wieczorem wybrali się obejrzeć Mulberry House. W uszach wciąż rozbrzmiewały im radosne gratulacje rodziców.

— Czy wciąż masz klucz do domu? — Spytała Phillida.

— Nie. Ale możemy wejść przez ogród. Które z tych drzew to morwa?

— To. Wspaniałe, nieprawdaż?

Wolnym krokiem spacerowali przez zaniedbany ogród. Zbliżyli się do poruszanych wiatrem, bujnych gałęzi drzewa.

— Phillido, podejdź tutaj.

Nie trzeba było jej tego powtarzać dwa razy. Odczuła głębokie zadowolenie, gdy objął ją. Należała do niego. Całował ją tak, jak gdyby nie chciał nigdy przestać. Gdy w końcu ich wargi rozstały się, wyszeptał jej imię.

— Phillido, moja kochana.

— Kochasz mnie, Grant? Czy tak naprawdę to kochasz Andiego?

— Wciąż cię to niepokoi? Oczywiście, że kocham Andiego, chcę być z nim. Ale nie potrafię żyć bez ciebie, kochanie. Siedem lat temu myślałem, że cię kocham, ale tamto jest niczym w porównaniu z uczuciem, jakim darzę cię teraz. Nie umiałbym już przedłożyć kariery nad miłość do ciebie. Gdy powróciłem, zakochałem się bez opamiętania w pięknej, godnej pożądanego kobiecie.

— To wszystko jest zabawne — powiedziała po dłuższej chwili. Wmawiałam sobie, że cię nienawidzę. Od momentu, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy po twoim powrocie, zdałam sobie sprawę, że się oszukuję. Nie przestałam cię kochać, ani przez moment.

— Kochanie! — Westchnął Grant.

— Tylko w mojej miłości nie ma już nic z lat młodzięcych. Kocham cię, Grancie Davis — wypowiedziała cicho. — Nie po to, żebyś ze mną został albo mnie zabrał ze sobą. To dlatego Andy się urodził. Teraz pragnę cię. Bardzo! Całym sercem.

— Kochanie. Ja również czuję to samo. Chcę, żeby tym razem nam się udało. Znowu muszę zadać ci to samo pytanie. Kiedy mnie poślubisz?

— Kiedy tylko zechcesz. Im szybciej, tym lepiej.

— Dokładnie zgadzam się z tym, co mówisz.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że Andy będzie mógł powiedzieć, iż bawił się na naszym weselu?

— Tak. Będziemy musieli mu wiele tłumaczyć, gdy dorośnie.

— To będzie twój obowiązek.

— A to psotnik z ciebie. To była twoja wina.

— Grant! Nie wracajmy już do przeszłości. Chyba straciłam wtedy rozum.

— Jak bardzo żałuję tych straconych lat, które mogłem spędzić z tobą i z Andym, gdy dorastał.

— Doszłam do wniosku, że miłość to zabawa z poważnymi konsekwencjami. Robisz jedną rzecz, ona prowadzi do następnej i na końcu ponosi się konsekwencje swoich czynów.

— Czy to się odnosi również do życia w ogóle? — Zapytał całując ją delikatnie.

— Masz rację, panie Davis. W naszym przypadku skończyło się na tym, że „pobrali się, żyli długo i szczęśliwie”.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — obiecał czułym głosem.